ŻYCIE KRAJU: WYPADKI W POZNANIU

NUMER PODWÓJNY
8 STRON

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 2 sh

ROK X. Nr 30 (474) Nr 31 (475)

NIEDZIELA, 22 LIPCA i NIEDZIELA 29 LIPCA 1956 R.

PUNKTY WIDZENIA

W Polsce po Poznaniu

Wewnątrz bieżącego numeru znajdzie Czytelnik syntetyczne omówienie wypadków poznańskich fachowym piórem naszego współpracownika kierującego dodatkiem ŻYCIE KRAJU. Cała wiedza o tych wypadkach zebrana w ciągu ubiegłego miesiąca posłużyła do wyciągnięcia wniosków ze zdarzeń, które tak bardzo wstrząsnęły nami wszystkimi. Na czoło zaś numeru, poświęconego w znacznej mierze sprawom krajowym, pragnę wysunąć problem, który dotycząc tych spraw bezpośrednio, równocześnie prześwietla intencje i zamiary reżymu na tle zdarzeń poznańskich. Do Londynu przyszła już krajowa prasa tygodniowa z pierwszej połowy lipca, a w niej artykuły, które są komunistyczną interpretacją zdarzeń w Poznaniu oraz wyznaczeniem dróg postępowania reżymu dla likwidacji ich skutków.

Po licznych wahaniach i propagandowych zygzakach reżym postanowił przyjąć następującą wykładnię wypadków poznańskich: w wypadkach tych należy wyróżnić dwa nurty — nurt dozwolonego protestu robotników przeciw przerostom niesprawiedliwej biurokracji, oraz nurt karygodnej „prowokacji zewnętrznej", która na błędach „socjalizmu" pragnie obecnie żerować. Stosownie do przyjęcia tej dwunurtowości przyczyn, przyjął też reżym dwojaką miarę w likwidowaniu wypadków poznańskich: w propagandzie wysuwa się na plan pierwszy moment konieczności zmiany sytuacji „ludzi pracy w Polsce ludowej"; w rzeczywistym zaś postępowaniu likwidacyjnym przyjęto zasadę bezwzględnej — jawnej i skrytej — likwidacji ludzi, którzy w związku z wypadkami zostali aresztowani. W ten sposób „humanistyczne" potraktowanie zdarzeń w publicystyce ma być pokrywką dla terroru, który faktycznie w tej chwili wokół spraw poznańskich narasta.

„Tygodnik studentów i młodej inteligencji" „Po Prostu" w nrze 28 z dnia 8 lipca pisze (artykuł wstępny poświęcony Poznaniowi pt. „Pierwsze uwagi"):

„Zastanówmy się. Demonstracja robotnicza, żywiołowa i wysuwająca niekiedy słuszne, niekiedy nierealne lub wręcz demagogiczne postulaty, mieści się w ramach problematyki politycznej, w której klasa robotnicza i władza ludowa muszą dojść w ostatecznym rachunku do porozumienia. Napad na więzienie, rozbrajanie posterunków milicji w mieście i wokół Poznania, oblężenie Urzędu Bezpieczeństwa — to kwestia bezpośredniej działalności wroga lub działań, które wyłącznie jemu przynoszą korzyść. Ale w rzeczywistości, tam w Ponaniu obie te sprawy wystąpiły jako splot działań i ta jedność czasu oraz akcji musi być wzięta pod uwagę wszystkich. Wynika bowiem stąd, że wszelki wewnątrz socjalistyczny spór o likwidację błędów i wypaczeń nie toczy się w pustce społecznej, że wróg usiłuje wykorzystać go dla swoich antysocjalistycznych celów. Jednocześnie zaś wypadki z 28 czerwca pokazują dowodnie, że nie wolno rozpatrywać działalności wroga w oderwaniu od typu i charakteru stosunków, jakie aktualnie istnieją pomiędzy klasą robotniczą a partią czy jej instancjami."

W cytacie powyższym widać wyraźnie rysującą się ową dwuwarstwową intepretację wypadków, jaką reżym przyjął. Według niego, wypadków w Poznaniu w ogóle by nie było, gdyby „partia i jej instancje" były lepiej załatwiły żądania robotników na jakiś czas przedtem. Nie mógłby również włączyć się i wykorzystać niezadowolenia „wróg". Bardzo to szlachetne ustalenie przyczyn zaburzeń w Poznaniu, szkoda tylko, że zostanie ono na papierze dla rzucania ludziom piasku w oczy. W rzeczywistości bowiem istnieje zamiar stosowania na wielką skalę środków terroru prawnego.

Po wyżej przytoczonych uwagach „Po Prostu" stwierdza dalej, iż działała tu również niecierpliwość „wroga", który na gwałt szuka okazji, aby bez straty czasu przeszkodzić przełomowym reformom, jakie w Polsce ludowej zapoczątkowano. „Dlaczego boją się ci wrogowie socjalizmu zmian — pisze dalej autor — jakie zachodzą w naszym kraju, w całym naszym obozie? Dlaczego cała ich propaganda sieje niewiarę w rzeczywistość tych zmian? Dlaczego sprowadza wszystko do „nowej taktyki"? Jest tak dlatego, ponieważ potężny proces rugowania błędów i wypaczeń, fałszów i zwyrodnień, jakie zaciążyły na naszym ruchu, zwielokrotnia siły tego ruchu. Dlatego, że twórcza inicjatywa mas w miejsce odgórnego administrowania, żywy marksizm w miejsce formuł, twórcza krytyka zamiast lakieru, naukowa analiza sytuacji, nie cofająca się przed powiedzeniem najtrudniejszych do strawienia prawd zamiast lukrowanych sprawozdań biurokraty — wszystko to wytrąca broń z ręki wroga, usuwa mu grunt spod nóg."

Otóż i jesteśmy na szczytach kłamstwa! Pomiędzy ludnością Polski a pomiędzy „władzą ludową" stoi, według powyższych interpretacji (a przeczytanie wielu innych tygodników utwierdza w przekonaniu, iż jest to wykładnia powszechna), tylko rzecz w zasadzie drobna, to znaczy nadużycie biurokraty, które łatwo da się usunąć. I drugie twierdzenie, że „wróg" z zewnątrz wplątuje się zdyszanym pośpiechem, ponieważ wie, że teraz to już każda chwila jest droga, a „demokratyzacja" i „likwidowanie fałszów i zwyrodnień" stalinizmu uczyni komunizm ustrojem uwielbianym przez wszystkich. Obraz sytuacji w Polsce i „w całym naszym obozie" jest w ten sposób gruntownie zamazany.

Bo jakże naprawdę przedstawia się stan rzeczy w odniesieniu do tych dwóch spraw?

Na cały splot zagadnień rzuci światło analiza owego magicznego terminu „wróg". Nie było w Poznaniu żadnego „wroga" z zewnątrz. Ten „wróg" był wewnątrz Kraju. Tym wrogiem jest cały naród polski. Różnica pomiędzy systemem a społeczeństwem nie jest różnicą toku urzędowania, ale różnicą zasady. Jeśli przyjąć nawet interpretację, że wypadki w Poznaniu miały swoje dwie fazy, pierwszą, czysto demonstracyjną, a drugą, po prowokacji, powstańczą, to i w tej drugiej nie działał żaden czynnik zagraniczny, żadne dolary, ale po prostu wyładował się w niej cały bunt niewolonego narodu. Prawda i przyczyna leży w tym: **że naród polski nie chce systemu i nie chce rządów komunistycznych.**

Pouczająca jest również analiza używanego teraz przez komunistów rzeczownika „demokratyzacja". Wszystko się rzekomo zmieni, gdy ona nastąpi. Lecz, jaki to ma być demokratyzm? Jakie sobie stawia on cele? Tym terminem reżym określa pewne zliberalizowanie stosunków, ale wcale nie wolne wybory, co zawsze rzeczownik „demokracja" oznacza. Być może, mogliby komuniści przekonać ludność Polski o prawdzie swoich słów, gdyby rozpisali naprawdę wolne wybory. Ludność Polski ma obecnie 27 milionów. Gdyby urządzić naprawdę wolne wybory, na listę komunistyczną głosowałoby — dwa, trzy, powiedzmy, pięć procent, reszta wybrałaby rząd, jakiego chce, w każdym razie nie komunistyczny. Ale „demokratyzacja" obiecywana obecnie wcale tego nie przyrzeka. Jest więc dla społeczeństwa polskiego bezużyteczna i nic w układzie rzeczy oraz nienawiści do reżymu zmienić nie może. Jest ona ponadto jawnym i wyraźnym wskaźnikiem dla każdego, że Polska jest w niewoli, mimo że się ten stan rzeczy teraz bardzo kryje i owija w wysładzane papierki frazesów.

„Katolicy reżymowi" skwitowali wypadki poznańskie artykułem swego führera, B. Piaseckiego pt. „Założenia" („Kierunki", nr 8, z dnia 8 lipca 1956). Jedyne uwagi, które Piasecki ma do powiedzenia na temat Poznania, streszczają się w takich jak poniższe „założeniach":

„Związek socjalistycznego ustroju społeczno - gospodarczego z niepodległością Polski jest nierozerwalny."

„Osiągnięcia jedenastolecia w dziedzinie stosunków polsko-radzieckich wyrażają się w swym masowym zakresie w rozumowym uznaniu sojuszu polsko-radzieckiego jako aktualnego nakazu racji stanu przez ogół Polaków. Dalszy rozwój wymaga ustawicznego rozszerzania podstawy społecznej tego sojuszu."

Są to myśli, które Piasecki powtarza od wielu lat. Na każde cierpienie narodu, na każdą nędzę zadaną przez ustrój, na każde nieszczęście ma jedną odpowiedź: Polacy, trzymajcie się komunizmu, Polacy, podporządkujcie się Związkowi Radzieckiemu! W tej chwili Kraj już niecierpliwie domaga się usunięcia jarzma, a ten bez przerwy swoje — „obóz socjalizmu", „nieodwracalny bieg historii", „sojusz polsko - radziecki". Jeden z jego adiutantów, Mieczysław Kurzyna, tak wykładał myśl wodza (bo on sam pisze językiem mętnym i zakalcowatym) tuż przed wypadkami w Poznaniu („Kierunki", nr 6 z dnia 24 czerwca 1956):

„W ciągu jedenastu lat naród polski w przeważającej części stał się narodem socjalistycznym, a to nadaje wszystkim pojęciom z tej dziedziny specjalną treść. Wobec zaś tych nowych treści poczucie dumy narodowej staje się — zjawiskiem specjalnie ważnym, a w chwili obecnej wręcz określającym istotę problemu." „Nie sposób jednak, tak, jak to się czasem zdarza, zapomnieć, że mimo wszystko dorobek jest wielki, a co więcej, że sama decyzja przed jedenastoma laty była trudna, że wykazała ogromną dojrzałość narodu, który ją podjął, że dziś może i powinna być, a w gruncie rzeczy przeważnie jest źródłem sprawiedliwej dumy narodowej."

Gdy się czyta artykuły publicystyczne z czerwca i lipca bieżącego roku w prasie „intelektualistów" komunistycznych i ich prozelitów, dochodzi się do wniosku, że na tych ludzi musiała paść ślepota. To nie jest już tylko kłamstwo, to jest szaleństwo. Kurzyna pisze, że przed jedenastu laty naród polski podjął „dojrzałą" decyzję wyboru ustroju komunistycznego. Czy warto, czy to w ogóle cośkolwiek może pomóc — mówienie takich nieprawd? Przed jedenastu laty naród polski został zmuszony do podporządkowania się ustrojowi komunistycznemu bagnetami i karabinami sowieckiego wojska. Wcale komunizmu sobie nie wybierał. Już przed jedenastu laty nienawidził go całym sercem. Co więcej, dziś nienawidzi go jeszcze bardziej, jakkolwiek miał możność, niestety, przyjrzeć się mu bardzo dokładnie z bliska. Gdyby w tym ustroju było cośkolwiek twórczego, nie byłoby przecież wypadków poznańskich.

Ale nie ma w nim niczego poza nieudołęstwem, niemocą i nieszczęściem. Intelektualiści reżymu nie chcą tego z uporem stada baranów widzieć, że w tych miesiącach, które upływają, ostatecznie kompromituje się sama zasada, sama sprawczość komunizmu. Że jest to dogorywanie pewnej obłędnej koncepcji, która przez czterdzieści lat utrzymywała się przy życiu tylko dlatego, iż narzucono ją ludom siłą. W tej chwili siła się wyczerpała, system musi upaść. Publicystom komunistycznym, którzy razem z systemem widzą i swój kres, wydaje się, iż bezużyteczną formułkę można uratować przetasowaniem słów i absolutnym odrywaniem się od rzeczywistości.

Mówi przysłowie, że gdy Pan Bóg chce kogoś ukarać, odbiera mu rozum. Wydaje się, iż w sytuacji, jaka wytworzyła się obecnie w Polsce, ma pełne zastosowanie powyższe przysłowie. Po wypadkach poznańskich, zamiast wyciągnąć prawdziwe wnioski, reżym odrywa się od rzeczywistości, okłamuje już nie tylko drugich, ale kłamie nawet samemu sobie. I to w obydwu przyjętych zakresach: propagandowo-publicystycznym i sądowo-terrorystycznym. Gdyby miał choć trochę sensu w swoich pomysłach, nie ważyłby się na żadne represje, ani te, które już w związku z Poznaniem dokonał, ani te, które zamierza. To samo jest z makulaturą publicystyczną.

Pisarze komunistyczni krygują się w egzaltowanych artykułach na temat wypadków poznańskich i wmawiają w ludność Polski, że ona w dalszym ciągu kocha komunizm, a tylko żąda w nim zmian. Takie nonsensy tylko drażnią ludzi w Polsce, którzy i tak mają nerwy mocno nadszarpnięte koszmarem wojny i jedenastu lat komunistycznego eldorada. Zalecałaby się tu jak najdalsza powściągliwość, ale oni nie mogą się na nią zdobyć, ponieważ zaślepienie odbiera im rozum.

Sytuacja w Polsce w tej chwili, zwłaszcza po wypadkach poznańskich, przypomina mały archipelag wysepek oblanych wodami potężnego oceanu. Wyspy to władze komunistyczne razem z ich intelektualistami, morze to cały naród polski. Te drobne okruchy są coraz bardziej oderwane od potężnych mas ludzkich, w których wzbiera gorycz i niecierpliwość. Jedynym rozsądnym postępowaniem byłoby tu wyciągnięcie właściwych wniosków z istniejącej sytuacji i spokojne przyjęcie do wiadomości wyroku historii, zgodnie z komunistycznym zwyczajem powoływania się na historię i jej decyzje.

*

Tak rysuje się obecna sytuacja w naszej ojczyźnie. Od wielu miesięcy wiemy, iż wypadki zgęszczają się, a nastrój oczekiwania rośnie. Powinniśmy błagać Boga o to, aby zrozumiała niecierpliwość nie przelała się poza brzegi i ażeby na ciemięzców Polski nie zstąpiła całkowita ślepota, która by do tylu krzywd wyrządzonych już, dodawała nowe.

J. K.

DONIOSŁOŚĆ MISJI KSIĄŻKI

Przemówienie Ojca Św. do XIV Kongresu Międzynarodowej Unii Wydawców

Wasza obecność, Panowie, podczas XIV Kongresu Międzynarodowej Unii Wydawców, daje Nam sposobność pozdrowienia tej znakomitej organizacji zawodowej i wyrażenia raz jeszcze zainteresowania, jakie Kościół zawsze okazywał książce.

Czyż on sam nie jest strażnikiem, który wyjaśnia tę Księgę jedyną stanowiącą wzruszający dowód miłości Bożej wobec ludzi? Ileż dzieł wspaniałych powstało w ciągu wieków dzięki wydawaniu, tłumaczeniu, ilustrowaniu Pisma Świętego. Każdy z Panów jest tego świadom; wielu brało nawet zaszczytny udział w międzynarodowej współpracy dokoła Księgi Świętej; wszak w najszerszym pojęciu Kościół uważał zawsze za najbardziej pochwały godne to wszystko, co pozwala ludziom zbliżać się do prawdy do piękna, do dobra — do tej wielkiej dziedziny, jaka za ustanowieniem Stworzyciela, otwarta jest dla wolności i zdolności ludzkiej, zaś wydawcy dobrych książek mają w tym dziele św. atła swój wielki udział.

Zwróciliśmy także uwagę na to, iż wasz program obejmuje również omówienie literatury szkodliwej i niemoralnej. Przedmiot ten, jak to rozumiemy, został potraktowany z punktu widzenia zawodowego i prawnego, ponieważ literatura bezwstydna stanowi nieuczciwą konkurencję, której trzeba stawić zaporę prawną, skuteczną i uniwersalną, lecz wierzymy, że zechcecie też wysłuchać powodów, dla których My tak gorąco popieramy realizację akcji w tym kierunku.

Powody te wypływają z samej ważności książki i wpływu, jaki wywiera ona na umysły.

Bardziej wymowna i łatwiej dostępna niż dzieło sztuki plastycznej, książka stanowi w nowoczesnej cywilizacji jeden z najbardziej zasadniczych przekaźników pojęć.

Jeszcze przed pójściem do szkoły dziecko ogląda książki z obrazkami, których pamięć towarzyszy mu nieraz przez całe życie. Nie można nie przywiązywać dużego znaczenia do pierwszych wrażeń doznawanych przez dziecko, a wpływ książki nie należy do najmniejszych. Podoba się Bogu, gdy oczy dziecka zwrócone są ku obrazom pięknym, gdy jego wyobraźnia i pamięć karmione są pięknymi historiami, dostosowanymi rozsądnie do prostoty jego duszy. Zamiast dawać mu fantazje, często dziwaczne, czyż nie lepiej mu przedstawiać i wyjaśniać wspaniałe opisy Pisma Świętego, tej skarbnicy uczuć ludzkich i poezji?

Ucznia karmi się podręcznikami. Jest to dziedzina wydawnicza, gdzie zastosowano najwięcej pomysłowości, smaku i wiedzy. Szczęśliwe dzieci, które od młodości mają do użytku książki dobrze napisane, dobrze wydane i ilustrowane. Byle tylko prawda była w nich w całości i zawsze respektowana, a także delikatność sumienia i zasięg inteligencji, według znanej maksymy: „Maxima debetur puero reverentia" (Z najwyższym staraniem trzeba chodzić koło dziecka) (Juvenal, Satyry 14, 47).

Skoro uczniowie mają korzystać ze wszystkiego, co im książka podaje, niech nie czynią tego bez wyboru i bez wskazówek, ponieważ nie są jeszcze całkowicie do tego przygotowani.

Nawet dorośli nie mogą się uważać za upoważnionych do wszystkiego. Jeśli nawet wiara nie może im nałożyć obowiązku poddania się macierzyńskiej interwencji Kościoła w danej sprawie, to samo prawo naturalne im wzbrania wżywać się w sceny niemoralnych wybryków, jakich niektóre dzieła są smutnym przykładem. Nabywca często staje przed półkami księgarskimi, jak przed półkami z jakimkolwiek innym towarem. Może wybierać przypadkowo, na zasadzie tytułu z wyglądu okładki, z cyklu wydawniczego, z nazwiska autora, czasem nawet z nazwy firmy wydawniczej, ponieważ dzięki Bogu są firmy, które nie wydają niczego, co nie jest dobre i pewne. Lecz ogólnie biorąc nabywca nie zna zamierzeń autora. Ten zaś, jeśli chce się podobać lub do czegoć nakłaniać, czyni użytek ze sztuki subtelnej, której czasem czytelnik nie ma możności ocenić na czas i opanować. Nie można się tu zasłaniać wolnością czytelnika, bo najczęściej nie ma tu równych szans, zwłaszcza, jeśli gra autora nie jest całkowicie lojalna. Istnieje literatura jak środki odurzające, przeciw którym słusznie prawo przewiduje najsurowsze kary. Podniecenie niebezpieczne i sztuczne, jakie wywołuje, zaciemnia a nieraz nawet całkowicie paraliżuje wyższe władze duchowe i to tak dalece, iż czasami powstaje zaburzenie stałe, sztuczna potrzeba przeżywania namiętności o charakterze prowadzącym w pewnych wypadkach aż do obłąkania.

Jeśli zdarza się w leczeniu, że zastosowanie pewnego środka niebezpiecznego jest dozwolone, dzieje się to jedynie pod odpowiedzialnością lekarza. To samo dotyczy dzieł, które nie są przeznaczone dla wszystkich, albo które dla wszystkich stanowią niebezpieczeństwo, z tym tylko rozróżnieniem, że każdy człowiek ma naturalną skłonność do złego, przeciw któremu własne sumienie nakłada mu obowiązek nieustającej walki i ostrożności. I aby zrozumieć następstwa intelektualne i moralne zwykłej lektury, trzeba sobie zdać sprawę z tajemnic, które okrywają dotąd jeszcze przenikanie pojęć i utajone oddziaływanie wchłanianych w duszę obrazów. Działanie zapomnienia bywa nieraz złudne. To, co umysł raz zanotował, pozostaje w nim jako drożdże życia lub śmierci i albo może zapoczątkować zainteresowanie nowymi wartościami duchowymi, albo też dać początek wewnętrznemu zepsuciu i trwałym urazom.

Wzgląd zatem na czytelnika z jednej, a na prawdę i moralność z drugiej strony, nakłada na wydawców poważny obowiązek zastanowienia się nad swoją odpowiedzialnością, gdy — przy pomocy nowoczesnych środków oddziaływania na opinię — wydają dzieło mogące wywrzeć wpływ na umysły. Nie tylko mistrzowskie dzieła promieniują, lecz także i te, które odpowiadają czasami nieuświadomionym i niezbadanym pragnieniom tłumu. Kupiec bez skrupułów wykorzysta je, człowiek honoru będzie się odważnie ich strzegł.

W zamian za to jest do podjęcia dzieło pozytywne, a wiemy, iż zdrowe i szczęśliwe przedsięwzięcia ukoronowane bywają powodzeniem. Wydawcy mogą stać u źródła ruchów społecznych, intelektualnych, duchowych i niejedne z tak powszechnych w czasach dzisiejszych serii, ustawione w szyku bojowym wystaw lub bibliotek, są jak armia, armia pokojowa, która ma służyć ludzkości, przeciw tym książkom, które tylko dla korzyści wydawane, odbierają w końcu ludzkości jej godność. Najwyższa oryginalność wydawcy powinna polegać na tym, aby dać publiczności to, co jest jej potrzebne dla prawdy, dobra i piękna, wynaleźć i poprzeć talenty zdolne sprostać tym potrzebom dusz i zaspokoić je, dając im pokarm duchowy o wartości wiecznej i w postaci najbardziej pociągającej. Takim winien być, mamy nadzieję, wasz ideał, a ponieważ jesteśmy przekonani o ważności waszej akcji, przeto prosimy Pana Wszechmocnego, aby wam w tym usilnie pomagał. I w tym duchu dla was tu obecnych, dla waszych rodzin i tych, którzy są wam drodzy, udzielamy Naszego apostolskiego błogosławieństwa.

LIST PAPIEŻA DO PRZEŚLADOWANYCH

W chwili, gdy oddajemy do druku obecny numer ŻYCIA, doszedł do nas tekst Listu Apostolskiego Papieża Piusa XII „Dum maerenti animo" z 29 czerwca br. w sprawie prześladowania religijnego w Europie.

List ten adresowany jest do trzech kardynałów, wymienionych w porządku nomicyj: Mindszenty'ego, Stepinacza i Wyszyńskiego, do arcybiskupów, biskupów, duchowieństwa i wiernych narodów europejskich dotkniętych prześladowaniem. Kraje wymienione są w alfabetycznym porządku nazw w języku łacińskim: Albania, Bułgaria, Cecoslovachia, Hungaria, Jugoslavia, Polonia, Romania.

Do sprawy tej powrócimy w następnym numerze ŻYCIA

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO OJCA ŚW. DLA „VERITASU"

Na ręce J. E. ks. arcybiskupa Józefa Gawliny wpłynęło z Sekretariatu Stanu Jego Świętobliwości pismo, które podajemy w dosłownym tłumaczeniu:

SEGRETERIA DI STATO DI SUA SANTITÀ

Dal Vaticano, li 1 giugno 1956

N. 375996

EKSCELENCJO, NAJPRZEWIELEBNIEJSZY KSIĘŻE ARCYBISKUPIE,

Ojciec Święty przyjął z wielką radością nowe wydanie dzieła J. Em. Ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego pod tytułem „Duch Pracy Ludzkiej", złożone Mu w hołdzie za pośrednictwem Waszej Ekscelencji przez Ośrodek Wydawniczy „Veritas".

Jego Świętobliwość, chwaląc bardzo to osiągnięcie, pragnie by Wasza Ekscelencja był wyrazicielem Jego ojcowskiej wdzięczności wobec Ośrodka Wydawniczego i udziela Ośrodkowi, a w szczególności Waszej Ekscelencji, Swego pokrzepiającego Błogosławieństwa Apostolskiego.

Korzystam ze sposobności, by ucałować święty pierścień Waszej Ekscelencji i wyrazić uczucia najgłębszego szacunku.

di Vostra Eccellenza Rev.ma
dev.mo servitore

Angelo Dell'Acqua
Sostituto

JANUSZ CZAHARSKI

MATKA BOŻA A ISLAM

PRZED 50 LATY, gdy Syria była jeszcze pod panowaniem tureckim, protestanci założyli w Baalbek szkołę. Gubernator turecki, w którego okręgu szkoła powstała, chciał się coś bliższego dowiedzieć o jej duchu. Gdy mu wyjaśniono, że prowadzą ją ludzie którzy nie czczą **Setna Mariam** to znaczy N. Maryi Panny, Turek zatkał sobie uszy i zawołał: „Maah Allah!". Niechże nas Bóg zachowa." — toż sam Sułtan czci Świętą Dziewicę." I napisał do gubernatora generalnego w Damaszku, aby zakazał posyłania dzieci muzułmańskich do nowej szkoły.

To zdarzenie nie zdziwi nikogo, kto zna religijną i świecką literaturę muzułmańską. Każdego bowiem, kto sumiennie studiował Islam, musiał uderzyć zarówno w Koranie jak i w tradycji kult Maryi, który zresztą przetrwał do dziś dnia. Przypominają to ostatnie książki i studia autorów katolickich, jak franciszkanina Abd-el-Jalil — profesora Instytutu Katolickiego w Paryżu, Ludwika Massignon — profesora College de France oraz Filipa de Zara, autora rozprawy pt. „Maryja i Islam".

KULT MARYI WSPÓLNY WSZYSTKIM SEKTOM ISLAMU

Wiadomo, że Islam jest również podzielony na liczne sekty, lecz kult Maryi jest wszystkim tym sektom wspólny i spotyka się go we wszystkich krajach muzułmańskich. Przekonali się o tym już krzyżowcy przed 800 laty, a ślady tego znajdujemy w pewnym starym tekście francuskim z okresu wypraw krzyżowych. „W Nowym Babilonie, w Egipcie — czytamy — znajdowała się studnia, przy której Najświętsza Panna zwykła prać pieluszki swego ukochanego Synka, gdy z obawy przed królem Herodem schroniła się do Egiptu. Tę to studnię Saraceni mieli w bardzo wielkim poszanowaniu i okazywali jej wielką cześć i wielu chodziło się przy niej myć".

Ten kult jest bardzo stary. Legenda utrzymuje, że gdy Mahomet wszedł do świątyni arabskiej Kaabah w Mecce, kazał potłuc wszystkie posągi bożków, które się tam znajdowały. Kazał również zniszczyć wszystkie obrazy wiszące na ścianach z wyjątkiem tylko jednego, który przedstawiał **Mariam** trzymającą na ręku swego syna **Aissa** (Jezusa).

NARODZINY I ŻYCIE MARIAM

Wspomniany już znawca Koranu, franciszkanin o. Abd-el-Jalil stwierdza, iż w tym co Koran podaje o N. Maryi Pannie uderza nas z jednej strony bardzo wysokie pojęcie o Niej, a z drugiej wiele wprost dziecinnie naiwnych szczegółów. Być może, że dostały się one do Koranu z apokryfów, które w porównaniu z Ewangeliami odznaczają się dużą gadatliwością.

Czytamy więc w Koranie, że ojcem Mariam był Imran, którego ród podobnie jak ród Abrahama był rodem wybranym. Imienia matki Koran nie wymienia, ale pozwala jej przemawiać. Była ona bezpłodna, toteż ślubuje, iż to co pocznie się w jej łonie poświęci Bogu i prosi Go, aby przyjął jej ofiarę. A gdy się dziecko urodziło, znów modli się jakby z wyrzutem: „Panie, wydałam na świat: córkę!" Lecz Koran natychmiast dodaje: „Ale Bóg wiedział lepiej o tej, którą wydała na świat".

Żona Imrana i matka Mariam modli się dalej: „I oddaję ją i jej potomstwo pod Twoją opiekę, a przeciw szatanowi odtrąconemu". Znawcy Koranu stwierdzają zgodnie, że słowa te oznaczają, iż każdy z potomków Adama jest dotknięty lub niepokojony przez szatana z wyjątkiem tylko Syna Maryi i Jego Matki.

Imię **Mariam**, które matka dziecku nadała, oznacza tyle co **„bogobojna"** a także **„służebnica"**, a więc jednak jakby echo słów ewangelicznych: „Otom ja służebnica Pańska!"

Z Koranu też można wywnioskować, że Zachariasz był mężem siostry matki Mariam, Elżbiety. Toteż dzieweczkę, gdy podrosła, oddano wujowi pod opiekę, aby mu pomagała w świątyni ,gdzie prawie przemieszkiwał.

W Koranie nie ma nawet wzmianki o św. Józefie. Natomiast w tradycji Islamu można znaleźć twierdzenie, że młody Józef pomagał Mariam w utrzymaniu ładu w świątyni, że razem ją zamiatali i sprzątali. Nikt im nie potrafił dorównać w pobożności i gorliwości w służbie Bożej. I oto właśnie Józef pierwszy spostrzega, że Mariam jest brzemienna. Jest głęboko poruszony, albowiem zdaje sobie sprawę, iż nie może wątpić w jej uczciwość, ale też i nie wierzyć własnym oczom.

WZRUSZAJĄCA ROZMOWA

A ponieważ sprawa ta ciąży mu bardzo, pewnego dnia zaczyna z Nią taką rozmowę:

Józef: — Niepokoi mnie coś, co się ciebie tyczy. Robiłem wszystko co mogłem, aby to w sobie stłumić, lecz mnie to zmogło. Może gdy będę mówił o tym, ulży to memu sercu.

Mariam: — Mów, lecz tylko dobre słowa.

J. — Pragnę mówić tylko takie. — Czy zboże może rosnąć, gdy się go nie posiało?

M. — Może.

J. — A czy drzewa mogą rosnąć bez deszczu?

M. — Mogą.

J. — A czyż można mieć syna bez ojca?

M. — Tak!... Czyż nie wiesz, że Bóg stwarzając zboże kazał mu rosnąć i nie potrzebował nasienia? Obecne nasienie pochodzi właśnie z tego zboża, któremu Bóg kazał rosnąć nie z nasienia. I czyż nie wiesz, że w swej mocy kazał On rosnąć drzewom bez pomocy deszczu? I On to tą samą mocą dał deszczowi tę właściwość, iż ożywia on drzewa. — A czyż powiesz, iż Bóg nie mógł sprawić, aby drzewa rosły bez pomocy deszczu; że w braku deszczu nie mógłby kazać im rosnąć?

J. — Nie! — powiada Józef — ja tego nie mówię. Bo wiem, że Bóg może wszystko co zechce. On tylko powie: „Stań się!" i wszystko się staje.

M. — A czy nie wiesz, że Bóg stworzył Adama i Ewę bez udziału ojca i matki?

J. — Tak, wiem — powiada Józef.

„A gdy to powiedział — dodaje tradycja islamistyczna — Józef miał jakby objawienie wewnętrzne, iż jego niepokój zesłał mu Bóg i że nie wolno mu już o nic więcej pytać ze względu na tajemnicę, którą Mariam zachowuje. Wobec tego sam się zajął świątynią i wziął na siebie wszystkie te prace, które dotychczas spełniała Mariam".

Wszystko to jest legendą, ale zwróćmy uwagę, z jakim pięknym i głębokim poszanowaniem tradycja islamu odnosi się do Najświętszej Panny.

ŚWIADECTWO NOWONARODZONEGO

Podobnie legendarny i dziecięcy charakter mają opisy cudów, które towarzyszą narodzeniu się Jezusa.

Maryja oddala się od swoich. „Nachodzą ją bóle rodzenia — czytamy w Koranie — gdy znalazła się u stóp drzewa palmowego. Woła ona: „Obym nie umarła wpierw..." Lecz głos dochodzący jakby z dołu pociesza ją: „Nie smuć się! Bóg kazał bić źródłu u twych stóp. I potrząśnie pniem palmy i spadnie na ciebie wiele daktyli, które cię posilą. Jedz zatem i pij i raduj się! A gdy zobaczysz kogoś z ludzi, powiedz mu: „Obiecałam Bogu pościć i nie będę dziś rozmawiała z nikim".

A gdy powróciła do swoich, niosąc na ręku Jezusa, powitano ją — jak podaje dalej Koran — okrzykami oburzenia i wyrzutami, lecz Mariam wskazuje na Syna, jakby od niego należało Jej oczekiwać świadectwa prawdy:

„A oni mówili: „Jakżeż się będziemy zwracali do tego, który leży w kolebce i który się ledwo narodził?" — Lecz On im powiedział: „Ja jestem sługą Boga. On mi dał Księgę i On mnie uczynił prorokiem. On mnie uświęcił gdziekolwiek przebywam. On mi nakazał modlitwę i czystość jak długo żyję. I On mnie napełnił czcią do mej Matki. I nie uczynił mnie krnąbrnym tyranem. I pokój spoczywa we mnie w dniu w którym się narodziłem, i w dniu w którym umrę, i w dniu w którym powstanę żywy".

W oczach muzułmanów najważniejszym po urodzeniu Jezusa zdarzeniem w życiu Maryi było właśnie owo cudowne świadectwo jej nowonarodzonego Syna. Są oni zresztą przekonani, iż w chwili gdy to opowiadanie znalazło się w świętej dla nich księdze Koranu, nie ma znaczenia fakt, że o takim zdarzeniu nie wspominają Ewangelie. Dla nich bowiem rację ma tylko Koran.

Nie wspomina też Koran ani o hołdzie Trzech Króli ani o rzezi Niewiniątek, lecz niektórzy jego komentatorzy wiedzieli o ucieczce do Egiptu. Zapewniają oni bowiem, że Mariam żyła tam kilka lat i że znosiła ubóstwo, bo po żniwach chodziła z innymi kobietami zbierać kłosy. Wspomnieliśmy wyżej, że krzyżowcy trafili na ślad kultu muzułmańskiego Maryi właśnie w Egipcie koło owej studni.

Koran nie podaje, że Jezus był ukrzyżowany, lecz że został cudownie zabrany sprzed oczu oskarżycieli i uniesiony do nieba. Ukrzyżowano kogoś podobnego do Niego i Maryi nie było pod krzyżem.

Po Wniebowstąpieniu Najświętsza Panna miała żyć jeszcze 6 do 8 lat; wydała bowiem Syna na świat gdy miała lat 13, a zmarła ukończywszy 51.

WNIOSKI

Gdy się to wszystko czyta nie należy zapominać, iż Islam uparcie nie uznaje nauki o Bogu w Trójcy Jedynym, że nie uważa zatem Pana Jezusa za Syna Bożego a więc i Maryi za Matkę Bożą. Dla muzułmanów Chrystus był tylko „wielkim prorokiem", o wiele mniejszym niż Mahomet, który żył w latach 570-632 po narodzeniu Chr. P. N. Maryi Pannie też przypisuje Koran dar proroctwa.

Trzeba jednak stwierdzić, że poszanowanie oraz cześć dla N. Maryi Panny, jakie znajdujemy w Islamie mogą zbliżać duszę mahometanina do prawdy chrześcijańskiej o Bogu, o Jego Synu — Zbawicielu świata i Maryi Matce Bożej.

*

Wspomniany na początku autor rozprawy „Maryja a Islam" nie bez słuszności stwierdza:

„Podobnie jak są pewne stopnie w grzechu, tak też i postacie niewiary nie są sobie równe: łatwo zmierzyć odległość jaka dzieli nieszczęsny fetyszyzm afrykański od mądrości Buddy. Pójdę nawet dalej: powiedziałbym, że np. mistyka hinduska jest o wiele bliższa Prawdy, niż materialistyczny rocjonalizm Zachodu. Stwierdziłbym w końcu, że Islam ze swym wyłącznym kultem jedynego Boga i swą cześć dla Maryi jest bliżej nas, niż chrześcijanie, którzy w wielkim odstępstwie narodów nowoczesnych wyparli się swego chrztu"...

Janusz Czaharski

KS. WŁADYSŁAW SŁAPA

ARCYPASTERSKIE SERCE

W piątą rocznicę zgonu Kardynała Sapiehy — 23 lipca 1951

Po śmierci księcia kardynała Sapiehy — co najtęższe pióra w Polsce oddały mu hołd, wypełniając szpalty „Tygodnika Powszechnego" faktami z jego życia.

...Jakże mnie coś do tego dodać?...

Cała Hierarchia polska i niezliczone tłumy zgromadzone w Poznaniu — na kilka lat przed jego zgonem — tak entuzjastycznie powitały Go, że — pisali — nie widział Poznań większego triumfu. Tak Polska oceniła jego osobę, jako arcypasterza i Polaka!

...Jakże mnie coś do tego dodać?...

W tym samym mniej więcej czasie był książę kardynał w Rzymie. Tu św. Kolegium Kardynałów specjalnie się zebrało, by wchodzącego do sali księcia kardynała powitać długobrzmiącymi oklaskami. Tak Kościół uczcił jednego z najświetniejszych swych książąt!

...Jakże mnie coś do tego dodać?...

A jednak są fakty w jego życiu, mało znane, lecz rzucające tak oślepiający blask, że — sądzę — będzie to ku większej jego czci, podać je szerokiemu ogółowi.

— Mam skarb! Dwanaście odręcznych listów ks. kardynała, pisanych do mnie, gdym przebywał w obozie internowanych w Rumunii, potem w Afryce Wschodniej i wreszcie w Maroku, czyli od 1939 do 1951 roku. Listy te pełne głębokiej troski o jednego ze swych kapłanów, rzuconego na krańce świata. Wszystko go ciekawiło — i miał czas — on, który dźwigał tak niezmierne brzemię, zwłaszcza po śmierci ks. kard. Hlonda, korespondować ze mną nie przez sekretarza, lecz znalazł chwilę wśród nawału codziennych a ważnych spraw, by pisać długie listy ojcowskie, pełne szczegółów i świadczące, jak poważnie traktował swego kapłana.

Kilka lat przed swą śmiercią nabawił się ks. kardynał zapalenia płuc. Podchodził już pod osiemdziesiątkę i pneumonia ta nie była pierwszą w jego życiu. Lekarze nie rokowali wyleczenia! Diecezja runęła na kolana w gorącej modlitwie, błagając Boga o cud wyzdrowienia. Może zresztą i cała Polska o to się modliła. Lekarze zamknęli go w sypialnym pokoiku a na straży stanął bonifrater-sanitariusz: jeśli jest jakakolwiek możliwość uratowania księcia kardynała, to warunkiem jej jest zapewnienie choremu całkowitego i absolutnego spokoju. Nikt prócz lekarzy nie może mieć wstępu do sypialni księdza kardynała — brzmiał stanowczy rozkaz lekarzy. Posłyszał go arcypasterz: „Jeśli się zgłosi do mnie ksiądz N.N., to rozkazuję go wpuścić" — szepnął ks. kardynał, a słabnącemu głosowi dodał mocy błyskiem swych oczu. Zdumienie i przerażenie w otoczeniu ks. kardynała. Toż to oczywista śmierć, taka wizyta!...

Ksiądz N.N. „odpadł" ze szczytu kapłaństwa i przy boku ukochanej dziewczyny usiłował zapomnieć, że jest „sacerdos in aeternum"! — Błyskawicznie rozeszła się ta wieść po Krakowie, budząc przeróżne uczucia: od zgorszenia — do zachwytu!... „bo żeby tak narażać cenne życie dla jakiegoś odstępcy?!..."— „bo żeby aż tak ukochać swego kapłana?!..."



Szept kardynała dotarł, jak śmierć, do głuchej na wyrzuty sumienia duszy księdza N.N. Zatrząsł się w sobie biedny, zabłąkany kapłan — i na kolanach, płacząc w dłonie świątobliwego biskupa, jak swego czasu Piotrowin u stóp św. Stanisława, dziękował za łaskę przebaczenia. Obaj odzyskali zdrowie: książę kardynał fizyczne — ksiądz N.N. moralne!

Nie wymieniam nazwiska księdza N.N., bom do tego nie upoważniony, ale odważyłem się na wyjawienie tego zdarzenia, bo sądzę, że jest to typowa „Felix culpa", o której śpiewa w Wielką Noc Kościół katolick!. Upadek tego księdza, jak zaparcie się św. Piotra Apostoła, stał mu się stopniem do chwały: O, felix culpa, która odsłoniła nam głębię miłości naszego arcypasterza! O, vere beata nox, in qua terrenis caelestia, humanis divina iunguntur!": O, prawdziwe szczęśliwa chwilo, w czasie której sprawy iście niebieskie z ziemskimi a ludzkie z Boskimi się złączyły! Chwała ci, księże N.N., nie za zgorszenie, jakie z powodu chwilowej słabości dałeś, ale za to, że mimo swego upadku okazałeś serce tak szlachetne, że dojrzałeś nieziemski płomień miłości i dobroci naszego arcypasterza. Upadek Piotra Apostoła przysłoniły nam jego łzy, pokuta i śmierć na krzyżu — twój zaś upadek nakryła jak płaszczem dobroć ukochanego kardynała!

Niechże nam świeci przepiękna pod każdym względem postać kardynała Sapiehy i niech przez wieki świeci pokoleniom polskim,

Ks. W. Słapa

Wielka pielgrzymka do Aylesford

Polska Misja Katolicka w Anglii i Walii, w oparciu o duszpasterstwa Londynu i południowej Anglii, organizuje w niedzelę 26 sierpnia 1956 roku w dniu odnowienia ślubów Narodu Polskiego na Jasnej Górze, wielką pielgrzymkę maryjną do siedziby oo. karmelitów w Aylesford (Kent — 30 mil poł.-wsch. od Londynu) i wzywa wszystkich Polaków katolików do udziału, licząc przy tym na współdziałanie wszystkich polskich organizacji społecznych w tym hołdzie dla Królowej Polski.

Zapisy na udział w pielgrzymce przyjmują wszyscy polscy duszpasterze w Londynie i południowej Anglii, lub organizacje i osoby przez nich upoważnione. Program tej wielkiej polskiej manifestacji religijnej przewiduje:

do godz. 11.30 — przyjazd i powitanie pielgrzymów w Aylesford (parkowanie na miejscu);

godz. 12 — uroczysta Msza św. polowa i wspólna Komunia św. Celebruje ks. infułat B. Michalski, kazanie — ks. prałat W. Staniszewski (kolekta na rzecz oo. karmelitów, zbiórka po Mszy św. — na polską Akcję Katolicką);

godz. 1.30 — przerwa na posiłek i odpoczynek (herbata i kawa za opłatą na miejscu);

godz. 3 — procesja różańcowa w parku;

godz. 4 — recytowana moditwa — ślubowanie w 300-lecie obioru Najśw. Maryi Panny Królową Polski (tekst na kartach jubileuszowych do nabycia u duszpasterzy), błogosławieństwo Przenajświętszym Sakramentem;

godz. 5 — koniec uroczystości i wyjazd.

Od godz. 11 będzie w Aylesford okazja do spowiedzi św., jednakże wobec małej liczby księży, pielgrzymi winni w miarę możliwości odbyć spowiedź przed pielgrzymką.

WŁADYSŁAW WILKOWIECKI

MATKA BOSKA FABRYCZNA

Spędziłem nie tak dawno dwa dni w mieście Derby w środkowej Anglii. Udałem się tam na zaproszenie Akcji Katolickiej, aby wygłosić odczyt w języku angielskim o prześladowaniu Kościoła w Polsce. Odczyt mój odbył się wieczorem w sali parafii katolickiej. Zgromadzonej publiczności angielskiej opowiadałem obszernie o walce reżymu komunistycznego z Kościołem w Polsce. Mówiłem o zamknięciu niezależnych katolickich organów prasowych, o niedozwalaniu na naukę religii w szkołach, o aresztowaniach biskupów, księży, zakonników i zakonnic. Odczyt mój wzbudził duże zainteresowanie wśród obecnych rekrutujących się w przeważnej części z robotników, bowiem miasto Derby jest ważnym ośrodkiem przemysłu tkackiego oraz górnictwa.

W czasie dyskusji musiałem wyjaśnić na czym polega perfidia metod komunistycznych w zwalczaniu Kościoła i religii katolickiej. Dla przykładu wspomniałem o aresztowaniu Ks. Kardynała Wyszyńskiego, którego nazwano przedstawicielem reakcji i wrogiem robotników. Kiedy mówiłem o działalności pisarskiej prymasa Polski w obronie sprawiedliwego rozdziału dochodu społecznego — jeden z moich słuchaczy zaproponował mi obejrzenie fabryki włókienniczej w Derby, którą zorganizowano na zasadach katolickiej nauki społecznej.

Następnego dnia rano pojechałem do fabryki Spa Lane Mills w Derby. Spodziewałem się, że zobaczę fabrykę taką jakich są setki w każdym kraju. Tymczasem już po wejściu do wielkiego na biało wymalowanego budynku przekonałem się, że wnętrze niewiele przypomina fabryki włókiennicze, które oglądałem w Polsce i Anglii. Przez przybrany kwiatami przedpokój udaliśmy się do głównej hali fabrycznej, gdzie wśród maszyn tkackich ustawiony był ołtarz przygotowany do odprawiania Mszy św. Dowiedziałem się wówczas, że tego właśnie dnia fabryka obchodziła swoje doroczne święto na pamiątkę rocznicy jej założenia. Patrząc na ostatnie przygotowania i dekoracje przed rozpoczęciem Mszy św. wypytywałem mego znajomego o historię fabryki. Tkalnia Spa Mills została zbudowana w roku 1937 na wzór słynnej już dzisiaj w świecie fabryki Harmel'a w Val-des-Bois w pobliżu Reims we Francji. Myślą przewodnią Leona Harmela było wykazanie, że maszyna nie jest złem sama w sobie. Zakładając swą fabrykę, lat temu z górą sto, Leon Harmel powiedział: „trzeba ochrzcić maszynę i uczynić z niej instrument szczęścia ludzkiego". To hasło zostało w pełni zastosowane w fabryce w Val-des-Bois. Sam Harmel umarł w czasie pierwszej wojny światowej i dzisiaj toczy się jego proces beatyfikacyjny. Beatyfikacja Leona Harmela będzie ukoronowaniem życia tego człowieka, który poświęcił się w całości sprawie robotniczej.

Kiedy tak rozmawiałem z moim znajomym stojąc w hali fabrycznej Spa Lane Mills w Derby, zaczęli się schodzić liczni pracownicy fabryczni z rodzinami. W chwilę później z małej fabrycznej kaplicy wyniesiono na barkach robotników figurę Matki Boskiej i zaczęła się Msza święta. Jakże niezwykle wyglądał ołtarz z figurą Matki Boskiej wśród maszyn fabrycznych, pasów transmisyjnych i wielkich zwojów juty przygotowanych do obróbki. Kiedy spojrzałem na twarze robotników, majstrów i inżynierów, którzy zgromadzeni tam byli w liczbie ok. 1000, zdałem sobie sprawę z tego, że solidarność, w większości protestanckiej załogi fabrycznej w Spa Mills w Derby, nie ma charakteru klasowego jakby to powiedzieli komuniści. Ci ludzie — w połowie zaledwie katolicy — zgromadzili się w hali fabrycznej, aby zjednoczyć się nie przeciw takiej czy innej klasie rzekomych wyzyskiwaczy, ale po to, aby oddać hołd Bogu i Matce Jego —Matce Boskiej Fabrycznej. Tak bowiem nazwał Ją kaznodzieja przemawiając w czasie Mszy św. — Jeśli Kościół ogłosił Matkę Boską patronką chorych, opiekunką strapionych i ucieczką grzesznych — mówił — to dlaczego Matka Boska nie może być uproszona o patronowanie w życiu przemysłowi?... Czyż jest dziedzina życia, gdzie bardziej potrzeba było wstawiennictwa Matki Bożej u Jej Syna?

Po zakończeniu Mszy św. obecni udali się na wspólne śniadanie przygotowane w obszernych pomieszczeniach klubu sportowego. Po śniadaniu rozpoczęło się doroczne walne zebranie udziałowców fabryki. Dowiedziałem się wtedy, że każdy pracownik fabryki jest akcjonariuszem przedsiębiorstwa i z tego tytułu ma prawo do kontroli nad polityką zarządu. Kiedy przysłuchiwałem się dyskusji, zdumiony byłem wysokim poziomem poszczególnych przemówień. Wyczuć można było z tego, że współodpowiedzialność za pracę fabryki jest znakomitą szkołą obywatelską dla robotników bez różnicy stopnia wyszkolenia lub płacy. Przemówienia pozbawione były zupełnie frazesów lub efektów krasomówczych; mówiono o sprawach takich jak wybudowanie basenu kąpielowego obok fabryki, rozszerzenie ambulatorium dentystycznego i ulepszenie systemu transportowego dla surowca wewnątrz fabryki. W czasie zebrania nie było niczego co przypominałoby masówki fabryczne w krajach komunistycznych. Zamiast mówić o planie produkcji i wysiłkach stachanowców — pracownicy fabryki Spa Mills obradowali nad tym, jak można fabrykę uczynić miejscem, w którym pełno jest radości życia.

To co widziałem w czasie mego pobytu w Derby, było wymownym dowodem słuszności nauki społecznej Kościoła. W fabryce Spa Lane Mills uczyniono robotników współodpowiedzialnymi za losy zakładu, utworzono z nich prawdziwą rodzinę obejmującą ponad trzy tysiące pracowników i ich rodzin. Od chwili założenia fabryki nie było tam ani razu zatargu z kierownictwem a zarobki utrzymują się ponad przeciętnym poziomem płac w przemyśle włókienniczym. Dodać do tego należy jeszcze udział w zysku, który znacznie podwyższa zarobki rzeczywiste robotników dając im możność korzystania z usług Funduszu Świadczeń.

Przed opuszczeniem gościnnych murów fabryki wstąpiłem na chwilę do kaplicy zakładowej. Przed ołtarzem klęczała spora grupa pracowników, którzy przyszli tu, aby podziękować swej Patronce, Matce Boskiej Fabrycznej, za otrzymaną łaskę szczęśliwego życia w wielkiej rodzinie fabrycznej.

Władysław Wilkowiecki

ŻYCIE KRAJU

DODATEK MIESIĘCZNY „ŻYCIA"

LIPIEC — SIERPIEŃ 1956.

LEON KOWNACKI

POZNAŃ — Z PERSPEKTYWY MIESIĄCA

„Największa fabryka Wielkopolski — ZISPO. Kolos, w którym jeden wydział W-3 zatrudnia 2.100 ludzi. Wielu towarzyszy utrzymuje, że zaczęło się właśnie tam" — pisze sprawozdawca „Trybuny Ludu" o wypadkach poznańskich. „Szereg źle przemyślanych i wadliwie realizowanych posunięć ekonomicznych odbił się na tym wydziale szczególnie dotkliwie. Zarobki trzech czwartych załogi spadły w ciągu roku o 200-300, a nawet o 400 i 450 złotych na miesiąc. W-3 został wyjątkowo pokrzywdzony. Jednakże bałagan zarządzeń, wadliwych norm i lub kooperacji i związanej z tym gonitwy nadliczbówek daje się — jak wiadomo — we znaki nie tylko zispowskiemu W-3. Środki naprawy podejmowano tu jednak zbyt wolno, zbyt po kunktatorsku. Obok ZISPO szczególnie rozgoryczeni byli robotnicy Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego..."

Manifestacja i pierwsze strzały

Bezpośrednie powody rewolty są w tym oświetleniu wyraźne. Robotnicy zakładów ZISPO pracowali dla przemysłu zbrojeniowego, lecz z powodu braku surowców zamówienia wojskowe obcięto. Spowodowało to obniżkę płac robotniczych do poziomu głodowego. W Polsce, według ogłoszonego niedawno sprawozdania Europejskiej Komisji Gospodarczej, kilkaset tysięcy robotników zarabia poniżej 500 zł miesięcznie. 500 zł Rzeczypospolitej ludowej stanowi mniej więcej równowartość 50 zł przedwojennych. Zarobek ten nie wystarcza na zakup pary butów. Robotnicy fabryk poznańskich, po bezskutecznych interwencjach u „władz ludowych", wyszli na ulicę, aby upomnieć się o swoje prawa.

Lecz manifestacja, w założeniu pokojowa, przemieniła się w krwawą rewoltę. Sprawozdawca „Trybuny Ludu" znajduje wytłumaczenie tego faktu. „Robotnicy Poznania padli ofiarą ohydnej prowokacji... Manifestacja robotnicza była żywiołowa. Ale wewnątrz tej manifestacji działała obca jej organizacja." Pochód robotniczy, według tegoż sprawozdawcy, dotarł bez przeszkód na plac przed MRN. Rozpoczęły się przemówienia, „spokojne — robotników, wściekłe, burzliwe, wrogie — prowokatorów". Odezwały się okrzyki „antypaństwowe" i nawoływania do ataku na gmachy publiczne. Tłum obiegła wieść o aresztowaniu delegacji robotniczej, wysłanej do Warszawy dla przedstawienia władzom żądań robotników. „Członkowie delegacji byli oczywiście na placu wraz z innymi. Ale pamiętajcie: kilkudziesięciotysięczny tłum, bez żadnego kierownictwa".

Skoro członkowie delegacji byli na placu i nie dali znać o sobie, należeli widocznie do grona prowokatorów. Co więcej, okazuje się, że tłum pozostawał bez żadnego kierownictwa. Był więc, czy nie był kierowany przez prowokatorów?

„...Z tłumu padają pierwsze strzały — pisze sprawozdawca. — ...Nasza milicja, nasze wojsko, nasza władza nie strzela, nie umie, nie może, nie chce strzelać do robotników. Czołgi jadące na odsiecz i urząd bezpieczeństwa zgodnie z rozkazem nie strzelają".

Manifestacja odbywała się na oczach paru tysięcy cudzoziemców, którzy zjechali do Poznania na targi. Ci co widzieli zajścia, stwierdzają zgodnie, że pierwsze strzały padły ze strony policji. Prasę światową obiegła fotografia grupy manifestantów niosącej biało-czerwony sztandar unurzany we krwi zabitego dziecka. Była to, jak zeznają świadkowie, pierwsza krew przelana w dramacie poznańskim.

Armia prowokatorów

Oddajemy głos Cyrankiewiczowi. „O ile robotnicy Poznania mieli niewątpliwie na celu przedstawienie swych postulatów — oświadczył premier administracji warszawskiej w przemówieniu radiowym — ...to prowokatorzy i agenci imperialistyczni mieli na oku coś zupełnie odwrotnego. Chcą przeszkodzić w realizacji tych postulatów, co im się nie uda i chcieliby wywołać anarchię, która przeszkodziłaby także postępującym procesom demokratyzacji naszego życia. Tego imperialistyczni agenci najbardziej się boją. Toteż nic dziwnego, że zamierzenia wichrzycieli spaliły na panewce w momencie, gdy zostało to rozeznane przez ogromną większość klasy robotniczej, która odcięła się i odstąpiła od następnej fazy demonstracji, od ponurych popisów agentów i prowokatorów, występujących z bronią w ręku i atakujących gmachy publiczne... Wtedy robotnicy w masie swojej, z wyjątkiem obałamuconych jednostek, poparli oczywiście władzę ludową, swoją władzę".

Prowokatorzy zostali więc osamotnieni, potrafili jednak, w towarzystwie „obałamuconych jednostek", zaatakować więzienie i zwolnić 200 więźniów, zdobyć kwaterę bezpieki, zniszczyć kompletnie stację zagłuszania audycji radiowych, a w oknach siedziby władz partii wywiesić kartki z napisem „pokoje do wynajęcia". Skoro robotnicy popierali w tym czasie władzę ludową, zmasowanie prowokatorów w Poznaniu w dniu 28 czerwca musiało być zgoła fantastyczne. Skąd się wzięli? Jak się stało, że czujne oko bezpieki nie potrafiło wykryć tego nagromadzenia w mieście agentów imperializmu?

P. Dulles, Eden i Pineau, przywiązujący tak wielkie nadzieje do procesu „liberalizacji" bloku sowieckiego i dopatrujący się w tym procesie nowych możliwości współżycia obu obozów, mogli być żywo dotknięci zarzutem, że oni właśnie dążą do zahamowania tego procesu. „Możemy się spodziewać — mówił p. Dulles w San Francisco 21 czerwca — że siły działające obecnie w Związku Sowieckim i krajach zniewolonych zmuszą rządzących do przestrzegania w coraz większej mierze zasad wolności. Oznacza to, że będą oni w coraz większej mierze uznawać godność jednostki ludzkiej, zaspokajać aspiracje swych narodów i, pod wpływem woli rządzonych, podlegać pokojowym przemianom. W ten sposób dojdzie do skutku światowa era prawdziwego liberalizmu... Możliwość tę widzimy po raz pierwszy od wielu lat..." Optymizm w świetle wydarzeń poznańskich co najmniej przedwczesny.

Nieskoordynowane, grubymi nićmi szyte zarzuty prowokacji świadczą, że hierarchia partyjna, pod wpływem nieoczekiwanego wstrząsu, potraciła głowy. Obrano doraźnie drogę ustępstw gospodarczych i terroru. Cyrankiewicz oświadczył, że „KC partii i rząd opracowały plan działania, który pozwoli na stopniowe podnoszenie stopy życiowej mas pracujących", robotnikom w Poznaniu podwyższono płace i zwrócono nieprawnie pobrane podatki. A jednocześnie działa w mieście tajemnicza komisja partyjno-rządowa, której nieznane bliżej uprawnienia wkraczają, o ile można sądzić z doniesień prasy zachodniej, w dziedzinę komptencji prokuratury i sądu. Jeżeli doniesienia są prawdziwe, powołanie tej komisji rzuca swoiste światło na „praworządność ludową". W chwili, gdy to piszemy, trwają aresztowania, a kontrolę granicy polsko-niemieckiej drastycznie zaostrzono.

Nic innego nie przyszło

Rewolta poznańska była wynikiem prowokacji, lecz nie ze strony „agentów imperializmu". Sprowokowała ją jedenastoletnia gospodarka reżymu z jej morderczym tempem industrializacji za cenę wyzysku siły robotczej, zaniedbania rolnictwa, ofiar i wyrzeczeń ze strony ludności. Gdy grupa rządząca na Kremlu potępiła „kult jednostki" i proklamowała „odwilż", partia w Polsce podjęła te hasła entuzjastycznie. Ferment intelektualny w kraju przybrał tak ostre rozmiary, że w Pradze, Sofii i Bukareszcie zakazano sprzedaży komunistycznej prasy polskiej. Ferment, w intencji rządzących, miał być siłą dynamiczną, oczyszczającą socjalizm z wypaczeń zrodzonych „kultem jednostki", miał zwiastować nową erę w stosunkach polityczno-gospodarczych bloku sowieckiego. Spełnił on całkowicie swą rolę destrukcyjną, odsłaniając nieprawdopodobną ilość ropiejących wrzodów ustroju. Nie spełnił żadnej funkcji konstruktywnej, gdyż w tej dziedzinie wyobraźnia hierarchii sowieckiej nie posunęła się poza proklamowanie „nawrotu do leninowskich norm życia partyjnego".

Odwołanie się do rządów Lenina może mieć pewien wydźwięk emocjonalny w sferach starych rewolucjonistów rosyjskich, dla których okres ten wiąże się z romantyzmem ich młodzieńczego buntu i entuzjazmem pierwszych dni rewolucji. W Polsce tego wydźwięku mieć nie może. Rządy Lenina — to okres najazdu bolszewickiego na Polskę, niezapomniane chwile zrywu patriotycznego i zwycięskiej walki z najazdem. Millenium leninowskie, niezgodne zresztą z prawdą historyczną, może co najwyżej wywołać w duszach starszego pokolenia Polski wspomnienia i reflekcje zupełnie różne od tych, które pragną wskrzesić obecni jej władcy. Zaciekłość krytyki stalinowskiego okresu na łamach prasy każe sądzić, że od „odwilży" spodziewano się czegoś innego, czegoś więcej. Nic innego nie przyszło.

Bankructwo

Proklamowanej hałaśliwie „liberalizacji", która wydobyła na powierzchnię życia w Polsce morze krzywdy ludzkiej, niekompetencji, niedołęstwa i marnotrawstwa, nie towarzyszyły żadne próby reform gospodarki komunistycznej ani próby rewizji systemu rządzenia. „Bałagan zarządzeń, wadliwych norm lub kooperacji" — pisze sprawozdawca „Trybuny Ludu". Marks i Engiels byli przeciwnikami państwa, uznając je za narzędzie uciskania jednej klasy przez drugą; Marks w swym Manifeście Komunistycznym określa państwo kapitalistyczne jako „komitet wykonawczy burżuazji". Państwo socjalistyczne w ujęciu sowieckim stało się „komitetem wykonawczym" nowej burżuazji, opartej wprawdzie nie na kryterium własności, lecz na koncentracji przywilejów wytworzonych przez nowy ustrój społeczny. Narzędziem rządów w rękach tej uprzywilejowanej mniejszości stała się partia. Wbrew założeniom teoretycznym, nie reprezentuje ona w najmniejszej mierze interesów „ludu pracującego", reprezentuje interesy swej hierarchii, części inteligencji i nowej technokracji. Masy pracujące nie mają swej reprezentacji w państwie „ludu pracującego miast i wsi" i mieć jej nie mogą, gdyż monopol rządów należy do partii komunistycznej. Tym się tłumaczy, że przeciw rządom „robotniczym" powstają właśnie robotnicy i że, nie mając innej drogi upomnienia się o swe ludzkie prawa, maszerują bezbronni, jak robotnicy Poznania, zwartymi szeregami na karabiny maszynowe. Poznań jest jednym z symptomów bankructwa marksizmu-leninizmu jako doktryny społeczno-gospodarczej. Jest również symptomem bankructwa komunizmu jako ideologii bezklasowego, egalitarnego ustroju przyszłości, symptomem tym jaskrawszym, że krwawym.

Gdy frazes i propaganda przestały osłaniać fałsz założeń ideologicznych „budowy socjalizmu", mniejszości rządzącej został tylko aparat władzy. Aparat ten jest częścią nowej struktury społecznej, składają się nań środowiska, którym zawalenie się ustroju groziłoby utratą pozycji społecznej, praw nabytych i przywilejów. Jak pewny i trwały jest ten aparat? Ma on na swe usługi policję, sądy i wojsko. Przebieg rewolty poznańskiej wskazuje na istnienie w wojsku i policji elementów niepewnych, które solidaryzowały się z manifestantami. Lecz kadry dowódcze, najeżone oficerami sowieckimi, wydają się nienaruszone. Korespondent „Frankfurter Allgemeine Zeitung" widział na własne oczy, jak oficer zastrzelił żołnierza, który odmówił strzelania do tłumu. Nie był to, według innych świadków, wypadek odosobniony. Aparat władzy, będący w dyspozycji partii, zdaje się wystarczać do utrzymania systemu pod warunkiem ustępstw na rzecz społeczeństwa; nie wystarcza już do rządzenia terrorem.



Ratusz poznański — zdjęcie sprzed wojny

Cena krwi

Powrót do stalinowskiego systemu terroru nie jest prawdopodobny z różnych względów. Proces destalinizacji osłabił poważnie autorytet rządzących. Uprzywilejowane w nowym ustroju mniejszości chcą mieć gwarancję, że nabytych praw i przywilejów nie odbierze im byle kaprys władzy. Dążą one do stabilizacji stosunków, nie chcą żyć pod presją ustawicznego strachu i niepewności jutra, nalegają na przestrzeganie „praworządności ludowej". Z nastrojami tych warstw musi się liczyć hierarchia partyjna.

Terror, jak wskazuje historia, może być skuteczny w okresie burzenia starego układu społecznego, gdy masa ludzka jest płynna, dawne społeczeństwo zanika, a nowe dopiero się rodzi. Staje się zawodnym i topornym narzędziem rządów z chwilą, gdy się uformuje nowa struktura społeczna z jej hierarchicznym układem i grą interesów. Fakty społeczno-gospodarcze hamują wówczas samowolę władzy.

Uwagi powyższe dają podstawy do założenia, że rewolta poznańska nie pociągnie za sobą zatrzaśnięcia pokrywy politycznej nad Polską i generalnego odwrotu od procesu „odwilży". Partia stoi raczej w obliczu konieczności rewizji swej polityki gospodarczej. Spośród krajów bloku sowieckiego jedynie Polska nie ogłosiła dotąd swego planu 5-letniego, sposobność do rewizji zatem istnieje.

Możliwości zmian zasadniczych są jednak niewielkie. Ogranicza je przynależność Polski do sowieckiego obszaru gospodarczego, w którym gospodarka polska jest częścią skoordynowanej w swych elementach zasadniczych całości. Ogranicza je też brak inicjatywy, skostnienie i niekompetencja machiny biurokratycznej. Jeżeli jednak nie nastąpią przesunięcia w produkcji na korzyść potrzeb ludności, rewizja systemu płac i warunków pracy, Polsce grozić będą nowe wstrząsy. Oby ich nie było.

„Zło, które się znosi cierpliwie, dopóki wydaje się nieuniknione, staje się nie do zniesienia, gdy tylko rodzi się nadzieja, że można go się pozbyć" — mówi Tocqueville, historyk rewolucji francuskiej. Lecz w epoce czołgów i karabinów maszynowych zdobywanie Bastylii jest mrzonką zapaleńców. Krew polska musi mieć wysoką cenę.

Leon Kownacki

GŁOSY PRASY ZACHODNIEJ
O WYDARZENIACH W POZNANIU

TIMES (Londyn):

„Łatwo było zdławić wybuch w Poznaniu, ale nie ulega wątpliwości, że nie jest to słomiany ogień, lecz raczej symptom bardziej powszechnego wzburzenia. Rząd sowiecki, po swym potępieniu stalinizmu i wejściu na drogę bardziej liberalną, nie może pozostać bezczynny. Apetyt wolności rośnie w miarę jedzenia. Obecni kierownicy ZSSR mogliby go zaspokoić za pewną cenę we własnym kraju, lecz gdyby uczynili to w krajach satelickich, ryzykowaliby utratę pozycji siły, jaką uzyskali na swych granicach zachodnich od czasu wojny."

DAILY MAIL (Londyn):

„Kreml nie może sobie pozwolić na istnienie opozycji w Polsce. Nie może tolerować sztyletu skierowanego w swoje serce. Polacy uczyniliby lepiej powstrzymując się do czasu."

DAILY TELEGRAPH (Londyn):

„Ci, którym zależy na uwolnieniu terytoriów wschodnio-europejskich za żelazną kurtyną, nie powinni przywiązywać nadmiernego znaczenia do rozruchów w Poznaniu. Rewolta to jedno, a rewolucja zupełnie co innego... Bezpośrednie przyczyny rewolty były natury gospodarczej."

MANCHESTER GUARDIAN (Manchester)

„Rozruchy poznańskie mają cechę wspólną z powstaniem wschodnio-niemieckim w roku 1953: oba wydarzenia nastąpiły, gdy rządy komunistyczne zaczęły nieco łagodzić swą politykę represyjną... W Poznaniu i Berlinie komuniści zmuszeni byli walczyć na ulicach miasta z robotnikami przemysłowymi, których uważają za awangardę komunistycznego proletariatu; do poskromienia tych zbuntowanych robotników trzeba było użyć — zarówno w Polsce jak w Niemczech wschodnich — oficerów sowieckich... Żaden zwrot poważny nie może w warunkach Europy wschodniej, wyniknąć z takiego powstania... Przywódcy komunistyczni pozwolili (krajom opanowanym) wypuścić nagromadzoną parę pod warunkiem, że nie naruszy to klap bezpieczeństwa... Wolność w małych dozach — to przepis zawodny. Pomiędzy zgodą udzieloną swobodnie a zgodą celi więziennej leży ziemia niczyja, na której rząd polski natrafił właśnie na minę. Trudno przypuścić, aby mógł zawrócić całkowicie. Będzie zapewne szedł nadal wąską ścieżką między represją a odprężeniem..."

OBSERVER (Londyn):

„Kreml stoi teraz w obliczu wielkiej decyzji: powrotu do represji, co uczyniłoby nonsens z wymownych deklaracji Chruszczowa, bądź udzielenia (krajom opanowanym) większej swobody i więcej niż pozorów niezależności — co znowu wymagać będzie zasadniczej rewizji, kosztem istniejących planów, programu przymusowej industrializacji."

NEW YORK HERALD TRIBUNE (Nowy Jork):

„Wydaje się, że kierownicy sowieccy obawiali się takich wydarzeń jako skutku swej kampanii przeciw kultowi Stalina. W niektórych krajach satelickich zaczęli już tłumić entuzjazm zrodzony przez tę kampanię. Co teraz nastąpi? Należy oczekiwać, że komuniści przykręcą śrubę; może im się to na razie udać. Lecz rewolta poznańska, w jeszcze większym stopniu niż berlińska, dowodzi, że pragnienie wolności jest nienasycone."

NEW YORK TIMES (Nowy Jork):

„Wiadomości z Poznania wskazują, że robotnicy, którzy próbowali dochodzić swych praw, byli wprowadzeni w błąd przez pozory nowego stanu rzeczy w Polsce. Wyobrażali oni sobie, że ponieważ przyznano się do zbrodni w przeszłości, mogą korzystać bez przeszkód z zasadniczego prawa petycji i zgromadzeń publicznych. Zabici i ranni stanowią wymowny dowód tego błędu."

DIE PRESSE (Wiedeń):

„Jeszcze Polska nie zginęła. Jak słaba musi być partia, mająca monopol władzy, skoro jej aktywiści nie są w stanie zapobiec ruchowi, skierowanemu otwarcie przeciw obecnym rządom i skoro zmuszona jest wzywać wojsko uzbrojone w artylerię i karabiny maszynowe, aby stłumić wybuch rozpaczy jednego tylko miasta."

ARBEITER ZEITUNG (Wiedeń):

„Dla reżymów satelickich powstaje zagadnienie już nie współistnienia, lecz po prostu dalszego istnienia. Czy nie osiągnięto już stanu, w którym wchodzi w grę samo istnienie reżymu komunistycznego w krajach satelickich? Jest to koniec liberalizacji. Komunizm wystąpi znowu w całej swej okazałości, z widmem terroru, krwi, więzień i szubienic."

FRANC-TIREUR (Paryż)

„Uderzenie pioruna w Poznaniu rozebrzmiało we wszystkich krajach satelickich. Komunistyczni kierownicy Polski będą zmuszeni do nowych koncesji, jeżeli nie zechcą, po przyspieszeniu destalinizacji, stanąć przed światem w szacie zagorzałych stalinowców. W tym wypadku krew męczenników Poznania nie będzie przelana na marne."

COMBAT (Paryż):

„Wolność, nawet dla tych co jej nigdy nie zaznali, pozostaje nadzieją narodów. Konformiści prasy komunistycznej nadaremnie krzyczą o prowokacji imperialistów, zapominają, że ludzie ulegali zawsze innej, odwiecznej prowokacji: nieświadomemu pragnieniu wolności."

LIBERATION (Paryż):

„Nowa polityka liberalizacji, której awangardą stała się właśnie Polska, nie przypada do smaku wrogom odprężenia. Unicestwia ona zasadniczy temat ich propagandy. Likwiduje zimną wojnę i plany krucjaty. Tylko zwrot w tył, usztywnienie krajów socjalistycznych mogłoby przywrócić nadzieję realizacji ich projektów. Kto mógł odnieść korzyści z zaburzeń w Poznaniu? Kto miałby interes w zahamowaniu odwilży?"

PROGRES DE LYON (Lyon):

„Prawda polega na tym, że slogany pomyślności i sprawiedliwości społecznej, którymi przywódcy rosyjscy usprawiedliwiają swe panowanie nad narodami Europy wschodniej, okazały się dziś czystą mistyfikacją i że część ludności najbardziej uprawniona do wydania o tym sądu, klasa robotnicza, pierwsza rzuciła hasło rewolty."

LES ECHOS (Paryż):

„Niesłuszne były przedwczesne spekulacje na temat mniej lub więcej bliskiego rozkładu stalinowskiego imperium. Faktem jest jednak, że struktura i metody, przy których pomocy ZSSR panuje nad satelitami, są, wzięte w całości, formą kolonializmu. I można sądzić, że w epoce, która przyniosła upadek imperiów kapitalistycznych, imperium sowieckie nie uniknie na dłuższą metę działania powszechnego prawa, jakim jest wyzwalanie się narodów spod obcej przemocy."

BORBA (Belgrad):

„Pominąwszy kwestię, kto był bezpośrednim inspiratorem tych zaburzeń, trzeba stwierdzić, że chodzi o gest reakcyjny i destrukcyjny, którego echa przekroczą zapewne granice Polski. Epilog tych wydarzeń jest bardzo pouczający. O ile działalność wrogów Polski demokratycznej i socjalistycznej godna jest potępienia, a liczba ofiar godna pożałowania, o tyle pocieszająca jest stanowcza decyzja polskich przywódców politycznych i rządowych, aby nie schodzić z drogi demokratyzacji."

ZJAZD EKONOMISTÓW

W dniach 7-9 czerwca odbył się w Warszawie zjazd ekonomistów polskich, na który, według „Trybuny Ludu", przybyło ponad 800 osób z całego Kraju. Zjazd nie wywołał wszakże wielkiego zainteresowania w prasie codziennej, a dygnitarze komunistyczni, z wyjątkiem Langego i Minca, świecili na nim nieobecnością. Przebieg zjazdu był nacechowany obowiązującym obecnie krytycyzmem w stosunku do przeszłości, lecz niektórzy mówcy, nie poprzestając na krytyce, posuwali się do wygłaszania poglądów trącących o milę o burżuazyjną herezją.

Referat „o aktualnych problemach nauk ekonomicznych w Polsce" wygłosił prof. Lange. Po przeanalizowaniu dorobku tych nauk w okresie od ostatniego zjazdu (r. 1950) oświadczył on, że „nauka ekonomiczna nie stała się koniecznym narzędziem kierowania procesami rozwoju społecznego". Prace naukowe w tej dziedzinie były schematyczne i dogmatyczne, brakowało im marksistowskiego powiązania teorii z praktyką. Rozrost aparatu biurokratycznego spowodował zastąpienie polityki ekonomicznej przez apele moralno-polityczne i nakazy administracyjne, administracja nie interesowała się marksistowską analizą procesów gospodarczych, utrudniając nawet ekonomistom dostęp do materiałów badawczych i danych statystycznych.

Naprawa tego stanu rzeczy wymaga, zdaniem referenta, rewizji dotychczasowych metod zarządzania gospodarką narodową. W rewizji tej należy uwzględnić we właściwej mierze bodźce ekonomiczne, ustalić proporcje w rozwoju gospodarki, zbadać sprawę decentralizacji i uprościć planowanie.

Surowa krytyka przeszłości ze strony referenta nie zadowoliła następnych mówców. S. Kurowski z Zakładu Nauk Ekonomicznych PAN upatrywał przyczynę złego stanu nauk ekonomicznych w ich oderwaniu od rzeczywistości. Zjawiskami powszechnymi były „dogmatyzm, komentatorstwo, bezkrytyczny stosunek do nauki radzieckiej, brak swobodnych dyskusji naukowych". Mówca wystąpił wreszcie przeciw monopolowi jednej szkoły ekonomicznej, żądając dopuszczenia także innych szkół naukowych, lecz herezję tę następnie odwołał.

Prof. Fabierkiewicz próbował — jak pisze „Trybuna Ludu" — „podważyć marksistowskie tezy o szybszym rozwoju produkcji środków produkcji w stosunku do produkcji środków konsumpcji, twierdząc jakoby teza ta była słuszna jedynie dla krajów rozporządzających dużymi zasobami bogactw naturalnych, np. dla ZSSR, natomiast dla naszego kraju przyjęcie tej tezy może prowadzić do zakłóceń w gospodarce narodowej, gdyż nie rozporządzamy odpowiednimi zasobami".

Te nonkoformistyczne wystąpienia wywołały ostre sprzeciwy prawomyślnych uczestników zjazdu, W. Sadowskiego i J. Pajestki, którzy nie mogli się pogodzić z tym, „aby pod hasłem wolności nauki starano się wprowadzić inny polityczny kierunek, podważający zasady naszego ustroju". „Nie jesteśmy klubem dyskusyjnym — twierdził Sadowski — żyjemy i działamy w warunkach określonych, w warunkach dyktatury proletariatu. W ustroju naszym nie może być wolności dla faszystów, rasistów, rzeczników restauracji kapitalizmu". Dyskusje, według mówcy, muszą służyć „socjalistycznemu budownictwu".

Sprawozdawca „Trybuny" nie podaje, po czyjej stronie były sympatie większości, lecz dogmat o przewadze tempa rozwoju przemysłu ciężkiego nad przemysłem lekkim podważył pośrednio sam Minc, a więc osoba miarodajna. Oświadczył on, że „nauka nie dostarczyła dowodów, iż przewaga działu I nad działem II stanowi prawo wynikające z samej reprodukcji. Można chyba mówić wyłącznie o tendencach pewnego okresu historycznego, a nie o prawie. Tendencje te zależą od okoliczności, w których można zadecydować lub nie o przeważającym rozwoju przemysłu ciężkiego".

Jest możliwe, że nie rozstrzygnięcie sporu w tej sprawie stało się powodem nieogłoszenia dotychczas planu pięcioletniego na lata 1956-60.

W ostatnim dniu zjazdu prof. W. Brus wygłosił referat o roli prawa wartości w gospodarce socjalistycznej. O ile można sądzić ze streszczenia referatu, prelegent ujął tę rolę w sposób, nie odbiegający wiele od zasad ekonomii klasycznej. Oświadczył on bowiem, że „rola prawa wartości jako regulatora w sferze obrotu towarowego znajduje zewnętrzny wyraz przede wszystkim w tym, że ceny rynkowe muszą kształtować się jako ceny równowagi popytu i podaży. Cena, która nie równoważy popytu z podażą, jest w gruncie rzeczy ceną ekonomicznie nieuzasadnioną. Jeśli jest niższa od ceny równowagi, udaje się utrzymać jedynie przy pomocy środków administracyjnych (system racjonowania) albo kosztem takich zjawisk, jak wykupywanie towarów i kolejki przed sklepami, co na dłuższą metę prowadzi do powstania drugiej, spekulacyjnej ceny, w swoisty sposób równoważącej podaż z popytem. Jeśli cena przewyższa poziom równowagi — efektem są zapasy nierozprzedanych towarów. W obu wypadkach gospodarka narodowa poniesie straty."

Poglądy prof. Brusa podzielił prof. Krzyżanowski z Krakowa, lecz inni mówcy odnieśli się do niego krytycznie, zarzucając referentowi, że ujmuje on rolę prawa wartości w gospodarce socjalistycznej w sposób sztuczny, gdyż wprowadza motyw konkurencji, gospodarce tej z natury rzeczy obcy. „Model gospodarki planowej, który proponuje prof. Brus, to model gospodarki pseudokonkurencyjnej, gdyż konkurencja nie wynika tu z istoty gospodarki, ale jest sprawą umowną" — oświadczył prof. Pohorille.

Przy końcu zjazdu zabrzmiała nuta sceptycyzmu co do wartości praktycznej jego uchwał. Prof. Rutkowski ze Szczecina stwierdził, że „małe zainteresowanie kierownictwa gospodarczego zjazdem ekonomistów wypływa z niewiary w możliwość zastosowania w praktyce wniosków ekonomistów dotyczących usprawnienia gospodarki. To zresztą świadczy o skostnieniu naszego systemu zarządzania gospodarką".

Zjazd uchwalił szereg bezbarwnych rezolucji. Przebieg obrad świadczy, że „odwilż" ogarnęła także ekonomistów, którym pozwolono się wygadać, lecz sceptycyzm ostatniego mówcy był uzasadniony. Na zjeździe wygłoszono wiele słusznych poglądów, lecz czy przemówią one do rozpanoszonej biurokracji? Gospodarką socjalistyczną kierują bowiem nie prawa ekonomiczne, lecz rozległa machina biurokratyczna, operująca instrukcją, okólnikiem i formularzem. Cena jako regulator popytu traci znaczenie, gdy towarów, których poszukuje ludność, nie ma w ogóle na rynku. Produkcja planowa ma w założeniu zaspokoić potrzeby ludności, lecz w istocie celem jej jest tylko wykonanie planu, a są to pojęcia bardzo różne.

Może jednak wypadki poznańskie zmuszą „władzę ludową" do refleksji.

PLAGA NADUŻYĆ

„Tygodnik Demokratyczny" pisze o rozpowszechnieniu nadużyć i kradzieży w sklepach państwowych. Gdy nadużycia wychodzą na jaw, winnych osadza się w więzieniach, lecz ich żony mają „nowe eleganckie futra, buty wartości co najmniej półtora tysiąca, torbę z jaszczurki... wszystko kupione za ukradzione pieniądze". Wielu sprawców kradzieży, „które nie wiadomo dlaczego u nas nazywa się mankami", nabywa „za ukradzione pieniądze wille pod Warszawą, pianina, komplety luksusowych mebli, bardzo drogi aparat radiowy, samochody, po kilka motocykli... stawia sobie domy".

Kradzieże i afery oszukańcze w sklepach „uspołecznionych", przybierają, jak można sądzić z przytaczanych przez pismo przykładów, zastraszające rozmiary. „W jednym tylko warszawskim ZSS-ie za rok 1954 prokuratura prowadziła dochodzenie o kradzież 17 milionów złotych". Według danych ministerstwa handlu wewnętrznego, „za rok 1954 straty państwa wynosiły 280 milionów zł, w roku ubiegłym kształtują się w granicach 150 milionów zł". Są to straty państwa, lecz trzeba do nich doliczyć straty kupujących, oszukiwanych na wadze, cenach i jakości towarów.

Świadczy to — zdaniem pisma — o złej organizacji pracy przedsiębiorstw handlowych i braku kontroli. Kontrola nie zastąpi jednak uczciwości kupieckiej, która tam, gdzie kupca zastępuje funkcjonariusz, staje się anachronizmem. Może zresztą epidemia nadużyć jest objawem swoistej walki z reżymem?

KAŻDEMU WEDŁUG JEGO PRACY

„Głos pracy" przytacza list młodego inżyniera skarżący się na „sprzeczności między teorią a praktyką, słowem a czynem" w życiu Polski ludowej. „Niektórzy zarabiają po kilka tysięcy miesięcznie, inni nie mogą wyżyć z zarobków, a pracują po 16 i więcej godzin na dobę... Życie ich jest nad wyraz ciężkie i jednostronne: praca — spanie, spanie — praca". Autor pisze o rzemieślnikach - fachowcach, harujących po półtorej i dwie dniówki na dobę, o hutnikach „pracujących piątek i świątek", matkach pracujących zawodowo i zostawiających bez opieki dzieci, a po powrocie do domu zmuszonych jeszcze prowadzić gospodarstwo domowe, prać, łatać, cerować, sprzątać.

„Wciąż się mówi o 'poprawie stopy życiowej' i stwarzaniu podstaw lepszego życia, lecz warunki się nie zmieniają... Jak długo to ma trwać? Rok, dwa, pięć? Trzeba nam to wyraźnie powiedzieć. Zamiast tego słyszymy... że to lepsze życie przyjdzie jutro, zaraz, że już nadeszło. Ostatnio usłyszeliśmy kilka słów prawdy, że żyje się u nas ciężko. Ale przed tym wciąż nam wmawiano, że już nam się znacznie poprawiło... Liczbami statystyki chcemy ludzi przekonać... Argumenty te nie chwytają, narasta niewiara, a nawet niechęć do słuchania takich dowodów".

„Ludziom doskwierają najwięcej wysokie ceny artykułów spożywczych... Mówi się dość powszechnie, że niskie płace pchają ludzi do kradzieży, że np. we włóknie istnieje masowa, powszechna kradzież surowca... Całe legendy krążą o nieuczciwości naszego handlu. Przeraża to, że wielu, którzy idą pracować w handlu, idą ze złą myślą i nadzieją, że znajdą tam możliwości 'kombinowania'...".

„Nie wierzę w żadne cudowne środki poprawy stopy życiowej, nie wierzę, że już w przyszłym roku zaczniemy żyć o wiele lepiej... Ludzie muszą wiedzieć, jaką drogą szliśmy do dnia dzisiejszego, czy była to droga słuszna — i muszą również wiedzieć, dokąd idziemy, co nas czeka, jaki los zgotujemy sobie..."

Robotnik haruje po 16 godzin na dobę i nie może wyżywić rodziny, inni zarabiają lekko tysiące, a „kombinatorzy" kupują wille i samochody... „Każdemu według jego pracy" — głosi dewiza socjalizmu

KRONIKA KRAJOWA

ŻERAŃ

„Po Prostu" pisze o gospodarce w fabryce samochodów osobowych na Żeraniu. „...Do każdego wyprodukowanego wozu państwo dopłacało w 1955 r. ok. 20 tysięcy złotych... Żerań kosztuje nas już blisko miliard złotych. Nie o ten miliard chodzi... chodzi o miliony, które marnują się dzisiaj..." Gdy premier Indii, Nehru, zwiedzał Żerań w czasie swej wizyty w Polsce, „w zakładzie nr 2 stało bezczynnie tysiąc maszyn". Nehru nie pytał wprawdzie, dlaczego maszyny stoją, lecz inne wycieczki żywo interesowały się tą sprawą; dawano im wyjaśnienia mętne, czasem absurdalne. „Gorzej, że pozostałe tysiące w wiele dni miesiąca stoją również... Projektowana zdolność produkcyjna Żerania wynosi 29 tysięcy samochodów rocznie. Dziś produkujemy ich tylko 7 tysięcy... 70% mocy produkcyjnej jest niewyzyskane".

Tej kulejącej produkcji brak ponadto rytmiczności. „Przeciętna produkcji... w poszczególnych miesiącach roku ubiegłego kształtowała się następującą: I dekada — 15% planu, II dekada — 25%, III dekada — aż 80% planu". W pierwszej połowie miesiąca robotnicy wałęsają się bezczynnie z kąta w kąt, załatwiając swe sprawy prywatne, bądź nie przychodząc w ogóle do pracy; w drugiej połowie praca przybiera mordercze tempo, pracuje się w godzinach nadliczbowych, dyrekcja i organizacja partyjna wygłaszają płomienne apele o ratowanie zagrożonego planu, od którego wykonania zależą wszak premie pracowników. Wszystko z tego powodu, że Żerań nie otrzymuje na czas surowców i półfabrykatów od zakładów, mających mu je dostarczyć, zakłady te bowiem pracują również nierytmicznie. „Ratowanie planu w ostatnich dniach to nie tylko 416.500 godzin nadliczbowych, jakie osiągnął Żerań w roku ubiegłym. To nie tylko 116.000 godzin przestojów... miliony złotych. To również niszczenie maszyn i narzędzi w okresie morderczego tempa. To również szczególne nasilenie brakoróbstwa... Straty FSO, wynikłe na skutek brakoróbstwa w roku ub., osiągnęły zawrotną sumę 5 i pół miliona złotych... Przekroczenie funduszu płac z powodu godzin nadliczbowych stwarza sytuację, w której nie płaci się już za godziny nadliczbowe..."

Żerań ma otrzymać w okresie najbliższych pięciu lat 200 kilkadziesiąt milionów na dokończenie budowy; rozsądek nakazywałby koncentrację inwestycji w pierwszych dwóch latach planu, aby jak najprędzej osiągnąć korzyści z zainwestowanych kapitałów, tymczasem „PKPG rozciągnęła inwestycje na lata". W tej samej sytuacji są inne zakłady powiązane z Żeraniem, co razem wzięte stanowi hamulec dla rozwoju produkcji... „Brak rozsądku — to zmarnowane setki milionów".

Samochody wyprodukowane przez fabrykę magazynuje się pod gołym niebem, na deszczu i mrozie. Robotnicy rozbierają ich części, sprzedając je prywatnym nabywcom, bądź sztukując nimi samochody będące w toku produkcji; chodzi wszak o wykonanie planu. Na ogrodzenie choćby drucianą siatką tego swoistego garażu potrzeba było zezwolenia ministerstwa. Sprawa wlokła się kilka lat, aż wreszcie garaż ogrodzono, co nie zabezpiecza go wszakże przed deszczem i mrozem.

W równie swoisty sposób planuje się zaopatrzenie fabryki i produkcję. Koszty własne, inwestycje, materiały, zatrudnienie, płace planowane są na wyrost, natomiast „zaniża się" plany produkcyjne, wydajność, postęp techniczny itp. Obowiązuje zasada, że władze nadzorcze muszą mieć coś do skreślania, chodzi zaś o to, aby skreślanie odbywało się bez szkody dla życia zakładu. Plan sporządzony z należytym uwzględnieniem psychiki władz nadzorczych pozwala z reguły na przekroczenie norm produkcji i otrzymanie przez pracowników premii. „Oszustwo — oświadcza pismo — usankcjonowane obopólnym brakiem zaufania".

Dochodzi do tego nadmierna centralizacja ośrodków dyspozycji, przerzucanie decyzji do coraz wyższych instancji, brak poczucia odpowiedzialności osobistej. „Góra nie potrafi zapanować nad sytuacją, powstaje chaos, instancje naczelne dławią się swą władzą. Swe zaplątanie się w systemie pokrywają rzeką nowych zarządzeń. Tworzy się nowe ministerstwa i centralne zarządy. Zakłady przerzuca się jak piłki od CZ do CZ, od resortu do resortu... Centralizm biurokratyczny staje się niemal apokaliptyczną maszynerią, nad którą ludzie tracą panowanie, stając się jej niewolnikami..."

„Potrzebny jest generalny przegląd całego systemu, struktury, kierowania, koordynowania, planowania, systemu płac i norm, słowem — całej naszej gospodarki" — konkluduje pismo. „Potrzebna jest szeroka, swobodna dyskusja, wysłuchanie opinii dołów, poważne i głębokie badania ekonomiczne... wypracowanie wreszcie nowej formy socjalistycznych stosunków produkcji".

Najpotrzebniejsza jest likwidacja komunistycznego bałaganu, niekompetencji, marnotrawstwa, lekceważenia pracy ludzkiej, pasożytnictwa biurokracji i całej gospodarki służącej interesom obcym, obliczonej na dobrobyt kilkunastu tysięcy i niedostatek lub nędzę mas. Ale tego „Po Prostu" powiedzieć nie może i nie chce.

BIUROKRACJA

„Słowo Powszechne" informuje, że w Polsce istnieje 37 ministerstw i 21 urzędów centralnych, komitetów i komisji, „prawie wszystkie na prawach ministerstw". Jeżeli wziąć pod uwagę, że przed wojną ministerstw było 11, to rozrost administracji „socjalistycznej" wygląda istotnie imponująco. Sprawa nie kończy się jednak na ministerstwach i urzędach centralnych: oprócz nich istnieje 380 centralnych zarządów, podległych ministerstwom i pełniących rolę łącznika między ministerstwami a przedsiębiorstwami państwowymi (w roku 1950 było ich tylko 53).

„Rozdęcie administracji nie ominęło oczywiście przedsiębiorstw państwowych, które tracą charakter przedsiębiorstw a zamieniają się w odnośne komórki administracyjne CZ-ów" — oświadcza pismo. „Na podstawie tych paru danych można mieć obraz rozdęcia administracji w naszym kraju. Obciąża ona poważnie nasz dochód narodowy... Rzutuje to w przykry sposób na prężność naszego przemysłu, hamuje postęp techniczny. I z tego też przede wszystkim względu obniża w poważny sposób stopę życiową w naszym kraju..."

Przyczyną tego potwornego rozrostu administracji jest, według „Słowa", centralistyczny system zarządzania, który „w sposób widoczny nie zdaje egzaminu". Pismo nawołuje więc do decentralizacji, tj. zwiększenia samodzielności władz lokalnych i przedsiębiorstw oraz ograniczenia liczby ministerstw i zarządów centralnych.

Sprawa nie jest nowa, projekty ograniczenia przerostów administracji snują się w Polsce od lat, występują z nimi pisma komunistyczne, istnieją w tym celu Państwowa Komisja Etatów i odpowiednie komórki w ministerstwach, lecz wszystko pozostaje bez skutku. System gospodarki komunistycznej rodzi biurokrację w sposób spontaniczny, żywiołowy. Człony jej, w miarę odcinania, odrastają jak u polipa, wychodzi ona zwycięsko z wszelkich prób zahamowania jej wzrostu. Jest to, jak już pisaliśmy na tym miejscu, zjawisko zasługujące na nazwę „podstawowego prawa socjalizmu". Biurokratyczny pasożyt rozwija się bujnie na żyznym gruncie komunistycznej utopii, zalewając państwo stosami papierowych zarządzeń, przepisów i sprawozdań. A płaci za to społeczeństwo.

NAUCZYCIELE I RELIGIA

„Życie Warszawy" skarży się na niejednolitość światopoglądową wśród nauczycielstwa. Nauczyciel, według pisma, jest „współtwórcą charakteru i poglądów dziecka... najczęściej tworzy on je na obraz i podobieństwo swoje", nie wolno więc twierdzić, że sprawy religii i poglądy filozoficzne nauczyciela są jego prywatną sprawą. „Z całą pewnością mamy już tysiące nauczycieli wyzwolonych od fideizmu i religianctwa. Ale jest również publiczną tajemnicą, że wielu nauczycieli w prywatnych rozmowach z młodzieżą i w praktyce własnego życia zajmuje w podstawowych sprawach światopoglądowych inne stanowisko niż na lekcjach".

„Gdy przed pewnym czasem jedno z pism nauczycielskich postanowiło odnowić tradycje 'Wolnej Szkoły' i przedrukować fragmenty artykułów tej jedynej ateistycznej gazety nauczycielskiej z XIX wieku... miarodajne czynniki oświatowe czyniły wszystkie możliwe wstręty" — ubolewa pismo. ZG ZNP rozpoczął przed kilku miesiącami wydawanie „Biuletynu Samokształceniowego", zawierającego materiały religioznawcze, lecz po trzech numerach wydawnictwo wstrzymano, rzekomo z powodu braku papieru. Propaganda ateizmu w Polsce nie dopisuje, książek „religioznawczych" jest mało i są drogie, a nakłady ich niewielkie. „Paradoksem jest, że najtrudniejszą sytuację mają w szkołach właśnie ludzie szczerze wyzwoleni od fideizmu, pragnący szerzyć swoje ateistyczne, materialistyczne poglądy. Koledzy-fideiści odwracają się od nich z niechęcią, władze walą po łbie za 'lewactwo', za podważanie zasad Frontu Narodowego, kierownik lub dyrektor za 'rozbijanie kolektywu'. Co gorsza, nieraz dochodzi do rozgrywek na terenie klasy gdy konserwatyści usiłują 'naprawiać' to, co na poprzedniej lekcji powiedział ich ateistyczny poprzednik".

Artykuł „Życia Warszawy" wywołał krytyczne uwagi w „Słowie Powszechnym", organie katolików postępowych. Polemizując z tymi uwagami „Życie Warszawy" nawołuje do wzmożenia ofensywy w dziedzinie kształtowania przekonań filozoficznych i religijnych nauczycieli. Potrzebny jest do tego „żywszy ruch wydawniczy i szczere dyskusje na tematy światopoglądowe... Trzeba stwarzać odpowiednie warunki do tego, aby myśl naukowa, materialistyczna ogarniała coraz szersze rzesze nauczycieli, aby uzyskać zgodność czynów i myśli z głosonymi ex cathedra poglądami... Konieczne jest zmierzanie stopniowe do takiego idealnego stanu rzeczy, aby wszyscy nauczyciele posiedli z biegiem czasu pewny, ugruntowany światopogląd materialistyczny".

Wywody powyższe prowadzą autora do nieoczekiwanego wniosku, że „na tym właśnie polega wolność sumienia poręczona przez Rzeczpospolitą wszystkim obywatelom".

Jest symptomatyczne, że zwolennicy „naukowego światopoglądu" muszą, w poszukiwaniu materiałów „religioznawczych", sięgać aż do XIX-wiecznych wydawnictw ateistycznych. Wstręty, czynione im przez „czynniki miarodajne", są oczywiście objawem politycznego oportunizmu. Oportunizm wynika z faktu, że Polska jest i pozostanie krajem katolickim, a „idealny" stan rzeczy, o którym marzy „Życie Warszawy", pozostanie mrzonką. Nic na to nie poradzą półinteligenci „wyzwoleni od fideizmu i religianctwa".

O ROZLUŹNIENIE CENZURY

„Tygodnik Demokratyczny" domaga się szerszego niż dotąd udostępnienia czytelnikom przekładów z piśmiennictwa obcego. Pismo skarży się, że w dotychczasowej polityce wydawniczej obowiązuje kryterium „ankiety personalnej" tzn. rozstrzyga nie wartość artystyczna dzieła, lecz przynależność autora do „pisarzy postępowych". Wydaje się powieści nudne, nawet pornograficzne, ale wyszłe spod pióra autorów mających markę prawomyślności. Obraz współczesnej twórczości literackiej Zachodu zostaje w ten sposób wykoszlawiony. Polityka wydawnicza tego rodzaju wymaga — zdaniem pisma — radykalnej rewizji. Pismo zastrzega, że nie chodzi mu bynajmniej o „uprzystępnienie czytelnikom książek wrogich nam i przez wrogów pisanych", lecz o „rozszerzenie wachlarza tłumaczonych autorów". „Niechże zacznie wreszcie decydować artystyczno - ideowa strona dzieła, a nie ankieta personalna autora, doprowadzająca niekiedy do bardzo zabawnych, ale przykrych dla czytelnika pomyłek... Chcemy wreszcie być lepiej poinformowani, 'co piszczy w trawie' literackiej Francji, Włoch, Anglii i dziesiątka innych krajów, bo nikt z czytelników chyba nie uwierzy, że cała literatura zachodnia — poza pracami tłumaczonymi na polski — to reakcja, wstecznictwo i imperializm..."

Nie pierwszy to głos i chyba nie ostatni. Głosy wołające o szersze otwarcie czytelnikowi polskiemu okna na Zachód pozostawały dotychczas bez echa. Pojęcie „książki wrogiej i przez wroga pisanej" jest w demokracji ludowej bardzo rozciągliwe...

KRYTYKA PRASOWA

Czytelnik „Expressu Wieczornego" w liście do redakcji czyni spostrzeżenia na temat skuteczności krytyki prasowej. „Mało się czyta w 'Expressie Wieczornym', by ktoś krytykowany na tę krytykę odpowiadał i by z niej wyciągał wnioski. Jeżeli np. z krytyką „Trybuny Ludu" ci i owi jakoś się liczą (wiadomo organ KC), to z krytyką w „Expressie Wieczornym" chyba jakoś nie bardzo, zwłaszcza jeżeli chodzi o te instancje wyższe, jak CZ, ministerstwa, dyrektorzy, ministrowie, działacze itp. Pomniejsze płotki to jeszcze odpowiadają, ale 'góra' milczy jak zaklęta. Jak długo to się nie zmieni, tak długo cała krytyka prasowa niewiele zdziała".

Głos trzeźwo oceniający głębokość „odwilży".

GDZIE GWARANCJA?

„Obecnie słyszy się często pytanie: gdzie gwarancja, że kult jednostki nie odrodzi się za rok, dwa, dziesięć' — piszą czytelnicy „Trybuny Wolności". „Pytanie takie zadają różni ludzie. I ci, którzy są ideologicznymi przeciwnikami naszego ustroju... i ci oddani sprawie partyjniacy, u których prawda o Stalinie wprowadziła chwilowy zamęt myślowy... Im mniej będzie ludzi 'nietykalnych', wyłączonych spod kontroli społeczeństwa i partii, tym potencjalnie mniejsze będzie niebezpieczeństwo powstawania nowych kultów, legend i mitów".

„... Na różnych zebraniach poświęconych omawianiu problemów XX zjazdu wielu ludzi zadawało pytanie: jaką będziemy mieli gwarancję, że ludzie wypowiadający szczerze swoje krytyczne uwagi o negatywnych zjawiskach występujących na danym zakładzie pracy, nie będą ponosić przykrych konsekwencji z tego powodu?"

Gdyby redakcja „Trybuny Wolności" mogła sobie pozwolić na rzetelne informowanie swoich czytelników, musiałaby odpowiedzieć, że nie ma żadnej gwarancji. Ustrój sowiecki i ustroje pokrewne sprowadziły instytucjonalne ograniczenia samowoli rządzących do fikcji. Dyktatura nie podlega kontroli, bez względu na to, czy sprawuje ją jednostka czy grupa ludzi. Ograniczyć ich władzę może jedynie obawa przed reakcją mas, zmusić do rezygnacji z władzy może tylko rozkład wewnętrzny lub rewolucja.

Co więcej, „dyktatura proletariatu" nie może się obejść bez mitu i kultu jednostki. Po obaleniu mitu Stalina stworzono mit Lenina i jego, obok Marksa i Engelsa, umieszczono w panteonie sowieckim. Twórca systemu doprowadzonego przez Stalina do swych logicznych konsekwencji stał się przedmiotem nowej, fałszywej historycznie, legendy.

MORALNOŚĆ I DONOSY

„Przegląd Kuluturalny" rozważa zagadnienie, „czy 15-letni ZMP-owiec ma moralne prawo napisać donos na własnego ojca-reakcjonistę" i „czy słuszne jest bronić takiego prawa". Podstawę do tych rozważań dało zdarzenie autentyczne opisane przez autora artykułu. „Ojciec znużony i rozczarowany życiem, inżynier, b. AK-owiec, czciciel BBC i syn zaniedbywany przez ojca, zdolny, impulsywny, młody chłopak, przy każdym obiedzie skaczący ojcu do oczu za złośliwe uwagi o cenach masła, o awansie społecznym". Atmosfera rodzinna staje się coraz cięższa, wreszcie syn pisze donos na ojca, oskarżając go o skłonności do dokonania sabotażu w swojej fabryce.

Inne zdarzenie. Stara nauczycielka francuskiego wskazuje autorowi ze strachem „płowego blondynka", który „naskarżył na nią dyrektorowi, że propaguje na lekcjach 'zachodni styl życia'. Odtąd miał od zastraszonej staruszki dostatecznie. Oglądałem jego dyktando. Koszmar."

Autor nie pochwala tego rodzaju denuncjacji, z tego jednak jedynie względu, że „nie wierzy jakoś w praktyczną użyteczność donosicielstwa 'szlachetnego'. Strona moralna zagadnienia jest dla niego obojętna. „Doraźna użyteczność może sprowadzić później nieobliczalne katastrofy". Rozstrzyga więc wyłącznie utylitarny punkt widzenia, ale i tu autor popada w sprzeczność z poglądem oficjalnym. Wszak patronem sowieckich drużyn harcerskich jest niejaki Morozow, pionier sowiecki, zamordowany przez chłopów za denuncjację własnego ojca.

Interesujący przyczynek do etyki „socjalistycznej".

KWIATKI BIUROKRATYCZNE

„Trybuna Ludu" przytacza wyjątek z księgi przepisów inwestycyjnych wydanych przez PKPG. W przepisach tych na stronie 109 zamieszczono następujące wyjaśnienie w sprawie nakładów inwestycyjnych sieci wodociągowej miejskiej:

„Przez miasto (osiedle) nowowyposażone w wodociągi (kanalizację) rozumie się miasto (osiedle), w którym dotychczas nie było wodociągów (kanalizacji), a w danym roku nastąpiło oddanie do dyspozycji miasta (osiedla) sieci wodociągowej (kanalizacyjnej)".

Przez idiotę (wałkonia), który to napisał, rozumie się funkcjonariusza (biurokratę) planującego gospodarkę socjalistyczną.

KRZYSZTOF BACZYŃSKI (1921 — 1944)

POEMAT O CHRYSTUSIE DZIECIĘCYM

(Matce i Annie poświęcam)

Motto: *Jeżeli was świat nienawidzi, wiedzcie, że mnie pierwej niż was nienawidził. Gdybyście byli ze świata, świat miłowałby, co jego jest.*

I PIEŚŃ
Modlitwa

Odbierz mi, Panie, ręce wygnańca
i daj mi ręce dzieci.
Jakże uradzę w martwych kolumnach
mity wybiegłe naprzeciw.

Jakże ogarnę ze snów najcięższy
jak ptakom odpowiem słowem
Oto się sypią czerwone węże
liście jesieni klonowych.

Jakże wbitemu w urny peanów
trwodze pod prąd ulecieć.
Odbierz mi, Panie, oczy wygnańca
i daj mi oczy dzieci.

II PIEŚŃ
Introdukcja przez mroczny czas

Płynęły barki wieków — ciemny stary testament
przez fale barbarzyńskich rzek i głucho
na każdym kroku epok odbijało: amen
jakby kto ziemi krzyczał prosto w ucho.
Ciągnęły lat wielbłądy i wędrówki ludów
pośród znaków, zbrodniarzy, proroków i cudów.
A coraz czarniej było. Dymów krągłe dynie.
Coraz duszniej przygasał rząd ofiarnych kaplic,
aż człowiek spojrzawszy w człowieka jak w lustro wybiegł
na brzeg najdalszej trwogi pod krzyk gwiazd i czapli,
a tętent dzwonów gonił głucho niebo tocząc
i nie było gdzie zbrodni pochować i oczu.

III PIEŚŃ
Przygotowanie

Krzyżowały się linie — znaki ciemnych proroctw
niebo w zygzakach całe płonęło, a wody
opływały powolniej. Sny biły jak piorun
kiedy jęczała ziemia największym porodem.
Z ciemnych omdleń proroków wykwitał jasny jaskier.
I dym opadał powoli, zgubiono ślady Boskie.
Diuny trwóg spustoszały i tylko dęło piaskiem,
a pasterze jak co dzień w doliny zjeżdżali sa ośle.

IV PIEŚŃ
„a Słowo ciałem się stało"

Jakże jasno świecił stłumiony płomień
i ogień wesoło strzelał smuklej niż hymn,
gdy jak każdy — narodził się matce Syn,
a od gwiazd się paliły niebiesko płomyki na słomie.
Upływały komety, upływał czas,
szły zwierzęta z obcych pękatych wysp
i kładły rogi płasko przed Dzieckiem świecącym od gwiazd.
Czarny wilk kładł na żłobie łagodny pysk.
Kołysały się słonie, długie węże żyraf
i krowy z niebem spojrzenia przynosiły pola.
Mówiły Dziecku stujęzyczny wyraz,
łamały sztywne patyki kolan.
Łagodnie cierpiała w nich ludzkość,
z oczu rosły paprocie rozległych krzywd.
Przypływały ptaki chmurami jak łódką
i zielono śpiewał las, wiatr porywał krzyk,
wiatry porywały głos,
a gasnący tłumił nieboskłon.
Płakało tkliwie starym grzechem
i żałością po polach chodziło.
Mówił wiatr na ucho echem,
a las głośno powtarzał: miłość.

V PIEŚŃ
Kołysanka

Mój maluśki uśnij. Deszczem
spływa nieba czarna rama.
Mój maluśki ziemia do snu
ukołysze cię jak hamak.

Mój maluśki, królu sierocy,
mój maluśki tytanie z oczami
niezapominajek.
Jaką ziemię odmierzysz krokami,
jakich dróg otulą cię gaje?

Mój maluśki pozostań na zawsze,
daj mi ciszę swoją nim uśniesz.

Mały Bóg się uśmiechał różowo —
błogosławił światu uśmiech.
Wariant:
Mój maluśki królu sierocy,
mój maluśki panie
jaka straszna za oknem zamieć,
jakie straszne dzieje ludzi.

VI PIEŚŃ
„Pójdźcie za mną, a uczynię was rybakami ludzi"

Zbierali rybacy sieci, srebrne bańki ryb,
podnosili pod słońce oczy i ręce szorstkie,
kiedy do wody z pluskiem opadał zachód i krył
w zatokach jak sum ogromny — czerwone wąsy.
Znów wołali rybacy, słońca uchwycić nie mogli,
a nocą gwiazdy z pluskiem płynęły przez więcierz.
Chwytali rybacy słońce, uciekało okrąglej
i na dyszącym trudzie kładli zmęczone ręce.
Kto im przez drogę przeszedł i z bliska słońce wziął w dłonie?
Jakie to dłonie przejrzyściej wyjęły serca spod chlamid?
poszli wpatrzeni niemo, przeszli na drugi brzeg,
odchodzili rybacy jasnymi drogami
za Rybakiem o oczach błękitnych jak śnieg.

VII PIEŚŃ
„Któż jest ten, że wiatry i morze są mu posłuszne"

Wiatr wzbierał ciężko i morze układał w troskę.
Płaskie wołanie wioseł. Szedł długim rzędem plusk.
Ciężkich fal nie udźwignąć. Wiatr głos odrywał od ust,
zamykał w wody rozkwit.
Ciężko rybacy. Ręce jak wiosła ciężkie.
Dyszało morze sztormem,
dyszały piersi męskie i coraz wolniej opadało w pająk
i coraz szybciej kołowało orłem.
Gwizdał na fletni, zielono wiatrem wydymał się sztorm
i kolorowe kule — niebiesko pękały fale.
Kiedy o jedno spojrzenie po wodzie chodził On
nie mącąc dreszczem piany
    nadchodził bliżej
    odchodził dalej.
Widmo — krzyczeli od lęku
bijąc rękami jak wiosłem,
a echo o niebo biło
a głosem o wodę niosło.
Widmo — wołali, a oczy
nieludzko dymiły od trwóg
i nagle pękły milczeniem
i wstąpił w barkę Bóg.

VIII PIEŚŃ
„Ktokolwiek by nie przyjął królestwa Bożego
jak dzieciątko, nie wejdzie do niego"

Ciężkie sny przyjaciele. Cudy znużone. Uśpienie
tylko pole z daleka kołysze głosy.
Wiatr Mu przeciągle śpiew kładł na skronie jak wieniec
i czesał słońcem miękkie włosy.
Przychodziły dzieci nieporadnie — małe ptaki
bez skrzydeł nie mogąc ulecieć
i słowa kładły wzrokiem, słowa, spojrzenia i znaki.
Przychodziły do Niego nieporadne dzieci.
A tu bez słów rozumiał i ciszą niepokój przygarniał,
ręce liliowe znużeniem i zmierzchem rozdawał jak chleb.
Przykładał spojrzenia do serca. Oczy siewne jak ziarno
i układał w kolebki kolorowych nieb.
Macie: darował im lasy i ptaków strzelisty przyśpiew
dał drogocenne zabawki — radosne daniele lasów
rozdał im kwiaty czerwone i drzew przydrożnych liście.
I nieznajomość czasu.
Wariant:
Dzieci w oczach noszą chabry
i powagę troglodyty.
Dzieci w oczach noszą prawdę,
noszą białe, spełzłe mity.
Dzieci mają rączki kociąt,
brodzą po kolana w śnie.
Odpływają okrętami,
odpływają pod żaglami
każdym liściem w jasny dzień.
Po błękitnych brodzą grzechach,
po zielonych brzegach brodzą,
okrętami z łup orzecha
na bieguny snów odchodzą.
Na kolebkach białych pieśni
złote kule niebem tocząc.
Dzieci noszą w oczach chabry,
dzieci Boga noszą w oczach.

IX PIEŚŃ
„Hosanna! Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie"

W pejzaż zielonych oliwek, w ramy kwadratów miasta
Bóg oprawiony. Pamiętam ten dzień i rżenie osła.
W winnym oparze poranek. Cisza dyszała opasła.
Promienie — pamiętam — pluskały po płaskich dachach
[jak wiosła.
Niosło się dalej. Jak dziecko
dzień klaskał dłońmi kwiatów
i małą, zdziwioną owieczką
przebiegła cisza przez drogę.
A potem gwar się lepił, miodniały usta słońca,
unosił przestrzeń jak ogień
patos wezbranych oczu.
Śpiewały kobiety leniwe:
„O pozwól nam w niebo skoczyć"
a chmury sypały błękit i zwolna wstrząsały grzywą.
    Przez mały pejzaż uliczek
    kołysał się szary chód.
    Jasny świt go wykrzyczał
    w kamienny miejski chłód.
Hosanna — wołali wesoło, zapalał się okrzyk i gasł.
Hosanna — pamiętam — wołali, błyszczały noże palm
i coraz tłumniej wzbierało — wyrastał spojrzeń las,
a niebo rozgięło, z powrotem zginało błyszczącą stal.
Hosanna wołali. Jak radość
rosła spiętrzoną fugą.
Hosanna wołali — Panie,
płonącą ziemię ugaś.
Przez głosy słyszał jak płacze
miasto zdarzeń i klęsk
i huczą gwiazdy przeznaczeń
w zimnych korytach rzek.
Wariant:
O pozwól nam wołać: Hosanna,
przed ołtarz zielony zaprowadź,
a w smutne białe jelenie
zamień zmęczone słowa.
Pozwól nam śpiewać: Hosanna
nad pomnikami drzew,
daj, żeby z nami śpiewał
nasz brat — puszysty lew.
Przywróć nam siostry jaskółki
i bractwo z klanem saren.
Podaruj nam słowo: Hosanna
i żółte obłoki podaruj.
Uratuj nas od myśli,
milczącej gliny pogrzebów.
Pozwól nam śpiewać: Hosanna
i pozwól nam skoczyć w niebo.

X PIEŚŃ
„I przyszli na miejsce, które zowią Golgota"

Ruszyły drzewa pogrzebnie jak kondukt ostatni wiodąc
ręce rozpaczą skręcone na niebie żółtym jak siarka.
Kolce kłujące w oczy. Broczyły echa pochodu —
— spiętrzone fugi arkad.
Dzwoniły opasłe ogrody, krążyły sępy huczące
trumną sklepienia przywalał krok niezrównany śmierci.
Gdy coraz głębiej odchodził. Stanęły konie rącze,
sarny, jelenie, daniele, płacząc dzwonami piersi,
Ruszyły góry żałobnie i szły brodziły przez rzeki,
Dyszały strwożone motyle oddechem gasnących skrzydeł,
a ludzie nie wiedząc płakali, pękały im w piersiach wieki.
Ostatnia oliwka przy drodze jak wbity nad grobem rydel.
Kto ciężar śmierci uradzi i wbije ją w życia środek
jak kolec? Szedł powoli najmilszym, najzłotszym ogrodem,
a gwiazdy wyległy naokół jak straszne uśmiechy armat.
Bliżej ostatnia Golgota, wybuchał krok mgławicami.
Chwiało się niebo wypuklej, biło o ziemię na trwogę...
Olbrzymiej huczało w planetach, pękały krwawo racami,
a wiatr podpalał drogi.

XI PIEŚŃ
„Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą co czynią"

Zatopiony w zachód słońca umierał
na szczycie śmierci, na szczycie ziemi.
Kto myśl najstraszniejszą wywołał?
Kto głosami w noc nawoływał — ciemnymi?
Kto się groźniej uporał z ziemią
jednym uśmiechem życia wśród trwogi zakrzepłej krwi?
Kto dni odejmował po jednym
i malował przestrzenią dni?
Czy w ten wieczór płynący na ukos
nie zobaczył lęk oprawcy
jak to ziemia ulatuje krukom
i czas martwy zwycięsko zastygł?
    „Panie, wspomnij na mnie, gdy przyjdziesz do
[królestwa twego"
I obrócił oczy na prawo —
nagle otworzył pół ziemi.
Długo patrzył jej prosto w serce,
porozkruszał zdarzeń krzemień,
i odpuścił. Umierało spokojnie
po prawicy Jego pół ziemi
w jednych oczach, jedną prośbą: Przemień.
Wariant:
Przemień słowa, odejmij nam patos
czarnych kroków odejmij echo.
Poszybuję w zielone lato
na obłokach dziecięcych grzechów.
Przemień ziemię w chmury płynące
i od trwogi nocnej wybaw.
Przemień trwogę w białe owce.
Daj nam żyć w latających rybach.
Przemień ziemię w czas i przestrzeń
i odejmij nam od nóg ziemię.
Zawieś morze jak płachtę na wietrze,
i w wesołe wilgi nas przemień.

I obrócił głowę na lewo z najcięższych spojrzeń
[najcięższym,
gdzie umierał najuboższy człowiek na najwyższym grzechów
[piętrze.

Nie odwrócił głowy na Boga.
Patrzył w ziemi glinianą maskę.
Tylko ciężej oddychały krzyże
jak kojąca prośba o łaskę.

Spadły dźwięcząc wrzeciądze nieba,
w czarny krzyk świat obrzękły się zapadł.
Ktoś pejzaże gliną ciemną pogrzebał
I przydusił słońca zapał.

Płakał serc rozgromiony obłok,
Matka z ciszy wypruwała lament
Wyginały się pola, aż obło
i spadały na ziemię łzami.

Wtedy głos nawoływał, przygasał i wywołał w najgłębszycn
[tonach:

O Eli, Eli, lama, sabacthani.
Zapłakał Bóg człowieczy
i skonał.

XII PIEŚŃ
Epilog

Jakie to słabe słowa. Oto gasną strzępy
myśli i słońc umarłych, a na kraty czarne
spadły ostatnie krople krwi jak sępy.
Jakim słowem słowo przerosłe ogarnę?
Takie są mity i pieśni. Rosną zielone dęby,
rosną groby na ziemi, czas odmierzają parniej.
A przecież gasną wieki — gołębie pustych listów
Czemu jest zawsze samotny — gdy schodzi na ziemię
[Chrystus?

Ukończono dn. 1 listopada 1940.

KS. KAMIL KANTAK

W bramie wieczności

Dnia 3 kwietnia 1849 roku Słowacki oddał ducha Bogu. Dusza rozłączona od ciała, stanęła natychmiast przed sądem Chrystusa Pana, aby wysłuchać wyroku zbawienia czy potępienia, i to nieodmiennego, którego Sąd Ostateczny będzie jedynie potwierdzeniem. Albowiem człowiek przechodzi tylko jeden żywot na ziemi i przezeń zapracowywa sobie na wiekuistą nagrodę czy wiekuistą karę. Nikt z nas, póki jest na tym świecie, nie wie, jaki wyrok go czeka za wrotami śmierci. Ale że dola wieczna zależy od zasługi doczesnej, więc skoro spojrzymy na doczesny żywot Słowackiego, zwłaszcza lat ostatnich, wolno wnioskować, iż wyrok Chrystusa był nagrodą, zbawieniem.

We wspomnieniu swoim Feliński podkreśla religijność swego mistrza. „Obudziła się w nim głęboka wiara i zatarła ostatnie ślady wpływów Towiańskiego“. „Prawdziwie szczere usposobienie religijne Słowackiego stało się w ostatnich dniach bezgranicznym uwielbieniem Chrystusowego Imienia.“ Konkluduje: „Siła darząca tę niepospolitą duszę tak niezakłóconym wobec śmierci pokojem, z prawdziwie chrześcijańskiej wiary i miłości wytryskać musiała.“

Słowa jego oddają na co patrzał. Wpływy Towiańskiego Słowacki był przezwyciężył, odbiegł odeń jakże daleko i wysoko. O uwielbieniu Chrystusa świadczą dzieła i listy, a że w ostatnich dniach się stało bezgraniczne, nie ma powodu wątpić.

Z tym wszystkim trzeba przyjąć za pewne, że koncepcji „widzącej wiary“ nie porzucił i towarzyszyła mu do zgonu. W ostatnim liście do rodziny z 4 marca 1849 pisze: (Bóg) „mnie już chciał jak żołnierza od was wziąć a na inne może trudniejsze jeszcze stanowisko odkomenderować“. Coś podobnego oznaczają słowa wyrzeczone do Felińskiego: „że Bóg powołuje go jako żołnierza swego na jakieś bojowe czuwanie“.

Feliński przeznaczał swoje wspomnienie dla najbliższej rodziny. Mając wówczas lat 25 i nie posiadając jeszcze teologicznego wykształcenia, nie orientował się zapewne w koncepcji „widzącej wiary“, ile że nie zdaje się, aby Słowacki go w nią wtajemniczał. Nadto, okoliczności agonii byłyby usunęły ewentualne wątpliwości. Co powiada, jest niezmiernie cenne; nie znaczy to jednak, aby bezstronna ocena powtarzała jego zdanie.

Nie można być dwóch zdań co do tego, że obiektywnie biorąc rzeczy, koncepcja filozoficzno-teologiczna Słowackiego nie zgadza się z wiarą katolicką, chrześcijańską. Właśnie te dwie teorie, do których poeta chciał — jak powiada — wprowadzić Chrystusa, stoją w wyraźnej sprzeczności z pojęciem chrześcijańskim Boga, z pojęciem chrześcijańskim człowieka: panteizm i metampsychoza. Jedno i drugie nie jest ani głębszym zrozumieniem katolicyzmu ani żadną teorią czy hipotezą wewnątrz niego się mieszczącą, lecz są to tezy sobie bezwzględnie przeciwne. Oto stan rzeczy obiektywny.

Sam wszelako Słowacki był subiektywnie przeświadczony, że jego koncepcja jest właśnie głębokim pojmowaniem katolicyzmu i że nadejdzie niebawem czas, kiedy się stanie publiczną nauką Kościoła. Iż w tej mierze był zupełnie szczery, dobrą jego wiarę mamy za równie pewną jak to, że błądził obiektywnie.

Podnieść tu wolno pytanie, czy dobrą wiarę w tym wszystkim mamy prawo przyjąć u katolika wysokiego wykształcenia i genialnego umysłu. Sądzę, że należy co do Słowackiego odpowiedzieć potwierdzeniem.

Istniał czynnik, który niezawodnie utwierdzał go w „widzącej wierze“. Były to, sądzimy, zachwycenia. Pewien był, że pochodzą od Boga, a jeśli tak, to chyba potwierdzały jego ideę. Nasuwa się takie rozumowanie, i choć nie znajdujemy wyraźnego tekstu, trudno przypuścić, aby jako dowód nie powstało w myśli wizjonera, przynajmniej podświadomie.

Trudno przypuścić, żeby Bóg mógł się objawić człowiekowi będącemu w błędzie — czy go nie wystawiał przez to na utwierdzenie w fałszywych ideach? Jeśli zaś te zachwycenia nie pochodziły od Boga, to skąd się brały?

Bywają oszukańcze zachwycenia, mogą pochodzić od złego ducha. Zali mamy tutaj coś takiego? Sądzę, iż trzeba zaprzeczyć. Głęboka świątobliwość życia Słowackiego nie pozwala przyjąć, żeby mimo obiektywnego błę- [illegible] [illegible] [illegible] sprowadzają niepokój, zaburzenia, wstrząsy, rozstrajają nerwy, popychają do pychy, tej najniebezpieczniejszej wędki spirytualnej, chwytającej ludzi gardzących zmysłami i mamoną. Nie do nich należy zachwycenie Słowackiego z 20 kwietnia 1845 roku: jest w nim zalanie światłem i lekkość, przestrach i upokorzenie. „Jam był uderzony światłami niebieskimi w działanie — przy największej spokojności krwi i zmysłów... nie chciej modlitwą ani egzaltacją prosić o takie rzeczy, bo grzech byłby może i niebezpieczeństwo“. Nie zgadzają się te doznania z tym co wiadomo o złego ducha omamach.

Pozostaje wszelako pytanie — skąd zachwycenia? Mniemamy, że należy je postawić obok owego snu, jaki poeta miał jeszcze w Genewie, gdzie tak wyraźnie widział we śnie Mękę Chrystusową, iż się przebudził, pełen przerażenia. Teraz na jawie widział zachwycenia; określilibyśmy je jako halucynacje, wywołane przez myśli i uczucia nieustannie krążące około rzeczy nadziemskich, oraz przez umartwiony tryb życia, osłabiający ciało i nerwy.

Nie powodował ich Bóg, tylko dozwalał. Interpretację, rozpoznanie znaczenia w stosunku do umysłu i twórczości wizjonera pozostawiał ludzkiej inteligencji. Mądry spowiednik byłby umiał wytłumaczyć, że nie zależą od doktryny „widzącej wiary“.

Całe zagadnienie występuje w jaśniejszym świetle, skoro weźmiemy pod uwagę środowisko polskie. Wiadomo, że religijne wykształcenie u nas wcale nie szło w parze z ogólnym, lecz pozostawało na niskim poziomie elementarnego katechizmu. Słowacki odbywał prawnicze studia. Ale teologia na uniwersytecie wileńskim wypadała słabo, dowodzi tego fakt, z jaką łatwością Siemaszko a za nim zastęp księży unickich wziął rozbrat z katolicyzmem. Właśnie wśród wilnian znalazł tylu adeptów Towiański. Czyż lepiej było gdzie indziej? Nie są przecież zgodne z katolicyzmem koncepcje filozoficzno-teologiczne Krasińskiego (o Trójcy w Bogu i o trójcy w człowieku), czy Cieszkowskiego („Ojcze nasz“), mimo że jeden i drugi byli praktykującymi katolikami, a mieli się za prawowiernych, poczytując swoje idee za filozofię chrześcijańską.

Ludzie epoki romantycznej pojmowali słabo oblicze intelektualne religii. Jakie to znamienne, że Krasiński szatanowi wkłada w usta słowa: „Niebo i ziemia przeminą, ale rozum mój nie przeminie“. Religia była dla nich nastrojem, uczuciem, wyobraźnią, tradycją. Więc i Słowacki tworząc swoją koncepcję, słuchał natchnień, entuzjazmu, fantazji tak dalece, że nie śmiał poprawiać tego, co raz napisał, pod dyktandem ducha, jak mniemał. Cóż dziwnego, że wyobraźnia poetycka wycisnęła znamię na „widzącej wierze“?

Oczywiście, zapuszczając się w głębiny rozumowania teologicznego, powinien był podjąć specjalne w tym zakresie studia. Że tego nie uczynił, było błędem, ale błędem na ów czas aż nadto powszechnym. Przecież z naszych wielkich poetów i myślicieli tej epoki jedynie Norwid jest integralnym i intelektualnym katolikiem.

Gdyby Słowacki żył w dobie dzisiejszej, byłby niewątpliwie zgłębił intelektualnie zagadnienia religijne. Ale dzisiaj świat się znajduje na fali przypływu katolickiego, wówczas nurzał się gdzieś na dnie odpływu. Lubo się rozczytywał w Biblii, Dantem i Calderonie, nie przyszło poecie na myśl jak wielkie skarby zawierają greccy teolodzy lub Augustyn, później Anzelm, Tomasz, Scot — jaką poezją tchnie łacina mistyczna hymnów średniowiecza — jakie widnokręgi rozwierają mistycy od Bernarda po Jana od Krzyża...

Ubolewamy, że Słowacki nie znalazł nikogo, kto by zwrócił jego uwagę na to wszystko. Zbyt nisko intelektualnie stali ówcześni poeci i pisarze, szermujący pod znakiem katolicyzmu (Zaleski, Witwicki), odstraszali raczej. Do zmartwychwstańców nie czuł pociągu ani zaufania. Trudno nam tutaj ocenić ich metody i sposób oddziaływania duchowego. Sądząc podług tego, czego użył Jełowiecki, aby skłonić Chopina do przyjęcia Ostatnich Sakramentów, byłoby to zbyt po polsku naiwne na psychikę twórcy „Genezis z Ducha“.

Zetknął się on raz w życiu z księdzem wysokiej inteligencji i przedniejszej gorliwości, który zyskał jego zaufanie i podziałał nań niezwykle. Był to jezuita Ryłło. Ale opuściwszy Wschód, nie widział go więcej. Miał wówczas katolicyzm genialnego męża w osobie Newmana. Jakaż szkoda, że nasz poeta nie miał szczęścia go spotkać. To byłby mistrz duchowny. Wyobraźmy sobie, żeby Newman był wywołał transfigurację poety, a z ich współpracy byłoby wyrosło dzieło, jakie by potomność postawiła obok tego najwyższego utworu poezji chrześcijańskiej i wszechludzkiej, obok „Boskiej Komedii“.

„Sprawiedliwy z wiary żyje“ — mówi Pismo Święte. Gdyby życie moralne Słowackiego wziąć za sprawdzian jego koncepcji, trzeba by jej wartość poczytać nader wysoko. Wszakże nie sądzimy, aby istniał taki istotny związek pomiędzy „widzącą wiarą“ a życiem, który by nakazywał albo chociaż pozwalał poczytywać ją za źródło żywota.

Z dwóch zasadniczych tez tej koncepcji, z panteizmu i z metampsychozy można wyprowadzić zgoła odmienne wnioski etyczne i praktyczne niż to czynił Słowacki.

Wiadomo, że wśród dzisiejszych teozofów metampsychoza daje z góry swobodę wszelkich przewinień, bo przecież łatwo będzie je odpokutować w następnym wcieleniu na ziemi. Panteizm logicznie rozumując, nie dopuszcza modlitwy. Jeśli człowiek jest cząstką bóstwa, jakież bóstwo nie ma sensu [illegible] bie? Kontemplacja, radość, umartwienie — oto co może czynić cząstka Bóstwa, zawarta w człowieku — ale dziękować, prosić, uwielbiać nie ma sensu. Dalej, czy w panteizmie może istnieć logicznie biorąc pokora? Atoli Słowacki się modlił długo i gorąco, ćwiczył w pokorze, a to wszystko tym intensywniej, im bardziej się zbliżała ostatnia godzina.

Skoro sobie go uprzytomnimy w ostatnim okresie życia, trzeba stwierdzić, że praktycznie postępował jak katolik z katechizmu.

W koncepcji jego religijnej na czoło wysuwa się to, co jest w katechizmie: Bóg jedyny, Stworzyciel świata. Trójca Święta: Bóg Ojciec, Bóg Syn, Bóg Duch Święty. Chrystus Bóg i Człowiek. Grzech i Odkupienie. Sakramenta. Rzeczy Ostateczne. Jedyne wyraźne odchylenie, to spowodowana przez metampsychozę doczesność pielgrzymki. Zatem i kult Boga, Najśw. Maryi Panny i Świętych odpowiada katolicyzmowi, odpowiada także moralność: pełnić przykazania Boże — umartwienie, modlitwa — cnoty pokory, czystości, cierpliwości, darowania uraz itd.

Różnice, sprzeczności, zachodzą dopiero przy głębszym ujęciu i rozumieniu tych prawd elementarnych. W doktrynie katolickiej wyrasta z tych filarów sklepienie, dachy i wieże katedry — w „widzącej wierze“ stoją rozproszone bez innego połączenia jak wyobraźnia poety, oplątająca winogradem, pnącą różą, bougainvillią. Na pierwszy rzut oka całość może wyglądać wdzięcznie i pięknie, lecz baczne spojrzenie ujrzy łatwo pod bujnym liściem i różnobarwnym, pachnącym kwieciem kruchość struktury.

Zastanawia, jak mógł mąż tej inteligencji, co Słowacki, sam nie przejrzeć wątłości, gdy równocześnie tworzył taką „Genezis z Ducha“, lub pisał do Emigracji „O potrzebie idei“. Sądzimy, że przyczyna leży w specyficznej mentalności, na której się wyraziła twórcza a dramatyczna przemożna wyobraźnia. Koncepcję „widzącej wiary“ budował jakoby dramat, czerpiąc i z obserwacji i z książek i z imaginacji, a całość przepływała jako wizja obrazów przed oczyma teologizującego poety. Przypominają się słowa z „Zborowskiego“: „Więc stworzysz świat jak tworzy Bóg, ale nie świat widomych scen... lecz ze snu sen“.

◆

Aby uzyskać pełny pogląd na idee religijne Słowackiego, należy go umieścić w otoczeniu i epoce.

Ówczesna myśl polska, zwłaszcza na Emigracji, pulsowała niezwykle żywa, wszechstronna, głęboka, otwarta na ruch europejski. Podobną intensywność znajdziemy chyba w drugiej połowie wieku XVI z tą różnicą, że wtedy punkt ciężkości leżał na religijnym zagadnieniu — w Polsce wieku XIX na narodowym — ten właśnie moment stanowi mianownik wszelakiej myśli i wszelakich nurtów. Emigracja żyła w bogatym środowisku intelektualnym, przenikały ją prądy bijące ze źródeł ówczesnego świata w stolicy cywilizacji i głównej pracowni ducha — w Paryżu. A nie zbywało tam również na ezoterycznych pierwiastkach.

Ruch umysłowy francuski i europejski Słowacki śledził żywo, nie tylko piśmiennictwo piękne, bardziej jeszcze prądy naukowe i filozoficzne. To wespół z dziedzictwem polskiej przeszłości i tętnem teraźniejszości dawało pożywkę, którą geniusz poety sycił swoje dzieło.

Podziwiamy i jego i tych mężów, co nie mogąc wskrzesić państwa polskiego, wówczas na paryskim bruku, dźwignęli Polskę w duchu wspaniałą, piękną, cudowną. Ich to dorobkiem żyły pokolenia po nasze czasy i żyć będą na daleką przyszłość.

Idee ich religijne, narodowe, społeczne, estetyczne, polityczne, gospodarcze uderzają głębokością, rozległością, szczytnością, różnorodnością w wszechstronnej obfitości. Łączy ich spirytualizm, przekonanie, że duch panuje nad materią i on stanowi istotną treść wszechświata. Każdy z nich: poprzednicy, rówieśnicy, następcy Słowackiego: Wroński, Mickiewicz, Krasiński, Kaysiewicz, Trentowski, Cieszkowski, Norwid — stoi pod sztandarem prymatu i dynamizmu ducha i każdy by mógł na czele swoich dzieł napisać słowa: Wszystko z ducha i dla ducha stworzone, a nic dla cielesnego celu nie istnieje.

Ks. Kamil Kantak

JĘDRZEJ GIERTYCH

HILARY BELLOC

Polska w okresie pierwszej wojny światowej musiała stoczyć zaciętą walkę z urzędową polityką brytyjską, kierowaną przez Lloyd George'a, ale miała w Wielkiej Brytanii po swojej stronie całkiem mocny prąd opinii, którego najgorętszymi przedstawicielami byli Chesterton i Belloc; i to było jedną z przyczyn, że polityka polska — co prawda mająca w Dmowskim znakomitego sternika — potrafiła w Wersalu odnieść w rzeczach zasadniczych nad polityką Lloyd George'a zwycięstwo. Polska w drugiej wojnie była z Anglią w formalnym sojuszu — ale nie miała w Anglii rzeczywistych przyjaciół. Być może nie zdecydowało to o naszej klęsce, ale że nam to nie ułatwiło zadania, to jasne.

Belloc był naszym przyjacielem — naprawdę. Niemały to pech, że Chesterton umarł przed wojną, a Belloc, choć żył do roku 1953, znalazł się poza życiem czynnym poczynając od roku 1941 (a od swego siedemdziesiątego drugiego roku życia), gdy powalił go atak apopleksji, po którym się już do jakiejkolwiek pracy i czynnej postawy nie podźwignął.

Jeden z ostatnich, czy może nawet po prostu ostatni z artykułów, jakie Belloc w życiu napisał, nosił tytuł „Poland is the Test“. Artykuł ten stwierdzał, że wobec tego, iż Anglia prowadzi tę wojnę formalnie w obronie Polski, położenie, w jakim się Polska będzie znajdować w chwili nastania pokoju, będzie sprawdzianem sprawiedliwości tej wojny.

Belloc był zakochany w Polsce i miał o niej całkiem niezłe pojęcie. W utworach jego — poetyckich, historycznych, publicystycznych — imię Polski przewija się ciągle. Jeden z najlepszych jego wierszy nosi tytuł Ballady do Matki Boskiej Częstochowskiej (The Ballad to Our Lady of Czestochowa); któryż inny poeta angielski wpadłby na pomysł zatytułowania w ten sposób swojego utworu?

Mimo że prasa angielska — nawet katolicka — jego twórczość historyczną raczej bagatelizowała wysuwając na czoło przede wszystkim jego zasługi jako publicysty i poety, dla mnie osobiście nie ulega wątpliwości, że głównym tytułem Belloca do wielkości jest jego twórczość historyka, olśniewającego śmiałością swoich poglądów i nieustraszonością w walce z ustalonymi, a fałszywymi dogmatami angielskich pojęć historycznych, zbudowanych na akceptowaniu reformacji i jej skutków. Belloc poszedł pod prąd nurtu wiedzy historycznej angielskiej. Szedł pod prąd — przez całe życie. Walczyć musiał nie tylko z pojęciami społeczeństwa angielskiego jako całości, ale nawet i z pojęciami angielskiej społeczności katolickiej.

Dlaczego tak było, oraz być musia-
społeczności katolickiej.

Dlaczego tak było, oraz być musiało, wyjaśnia najlepiej on sam w niedużej książce pt. „Survivals and New Arrivals“ (wydanie Sheed & Ward, 1949, cena 1/6)

„Jest rzeczą nieuniknioną — pisze Belloc — że społeczność katolicka w świecie mowy angielskiej musi oddychać powietrzem, które nie jest własne i musi być bardziej zarażona duchem niekatolickim, lub antykatolickim, niż to jest możliwe w innych protestanckich krajach, w których trwa (wśród mniejszości katolickiej) stara katolicka kultura o nieprzerwanych tradycjach“. (Str. 38).

„Można powiedzieć, na przykład, że społeczność katolicka Anglii jest odrobinę mniej wroga wobec sprawy polskiej, niż ogół Anglików, ale nie można powiedzieć, by wiele wiedziała o Polsce, albo by jeden człowiek na stu miał wśród niej jakąkolwiek wyraźną sympatię dla polskiego oporu przeciw Prusom. Tak samo, wielki nurt literatury w kulturze katolickiej jest zamknięty dla tych mniejszości katolickich w świecie mowy angielskiej. Nie mają one potężnej prasy codziennej. Otrzymują prawie wszystkie informacje i około połowy poglądów z gazet o kierownictwie antykatolickim. Książki, które urabiają umysły całego narodu, przyczyniają się też do urobienia umysłów i jego mniejszości katolickiej — a ta literatura jest w swej masie zaciekle antykatolicka.

„Moje własne doświadczenie w tej dziedzinie dotyczy przede wszystkim historii. Całe dzieje Europy wyglądają zupełnie inaczej, gdy na nie spojrzeć z punktu widzenia wykształconego Francuza, czy Włocha, niż gdy na nie spojrzeć oczyma przeciętnego, wykształconego angielskiego, lub amerykańskiego katolika.

„Do tego stopnia się to oznacza, że wypowiedzenie czegoś, co na kontynencie jest ogólnie przyjętym banałem, dla większości katolików w Anglii brzmi jak paradoks.“ (str. 40-41)

„Powietrze, którym oddychamy, jest antykatolickie, historia, której nas uczą, pojęcia moralne będące u podstawy systemu prawnego, któremu jesteśmy posłuszni, restrykcje, nakładane na nas, koncepcje polityczne, wyrażające się w każdym akcie publicznym, ogólna postawa wobec obcych krajów, wszystko to są produkty tego nacjonalizmu, który nasi niekatoliccy współobywatele uważają za uczucie święte. My mimo woli poddajemy się tym uczuciom. Ale duchowo, uczucia te są w kolizacji z wiarą.“ (str. 44)

„Gdy spojrzymy na ugrupowanie się polityki narodowej w dzisiejszej Europie, od razu odkryjemy skutki ogólnej sympatii religijnej. Z jakiejże innej przyczyny widzimy niechęć wobec Polaka, Włocha, Francuza, Hiszpana, Belga, a równocześnie zachwyt nad Holendrami, Skandynawami, Prusakami?“ (str. 17)

Tak było, gdy Belloc był młody, tak było również, gdy Belloc, przeżywszy lat 84, zstąpił do grobu. Walcząc z pojęciami, którymi Anglia oddycha, Belloc, mimo cechującej go pogody i radości życia, był właściwie postacią tragiczną.

Nie wszyscy to widzą. Stwierdzają to jednak umysły przenikliwsze. Należy do nich świetny angielski pisarz katolicki, autor nowego przekładu Pisma Świętego na język angielski, Mons. Ronald Knox, który tak pisał we wspomnieniu pośmiertnym o Bellocu („The Tablet“ z dnia 25 lipca 1953 r.):

„Wielkość Anglii była tak całkowicie zbudowana na małżeństwie protestantyzmu z plutokracją, że nie mógł on prorokować powrotu (Anglii) do wiary bez równoczesnej utraty wielkości. Również i to podsycało jego melancholię, bo pod swoją maską satyry głęboko Anglię kochał. Przekreślało to harmonię między nim, a niektórymi jego rodakami katolikami, nietolerancyjnymi wobec tego, co im się wydawało ewangelią rozpaczy. Nie był on stworzony do tego, by być szczęśliwym“.

„Nieraz się zastanawiałem — pisze Monsignor Knox w innym miejscu tegoż artykułu — co by się z nim stało, gdyby go mianowano docentem (Fellow) w Balliol College (w Oksfordzie). Zamiast niego Balliol obrał innego katolika, Francis Urquhart'a, wspaniale zdolnego, jak on był wspaniale niezdolny, do życia w zgodzie między ludźmi o obcych mu podstawach myślenia. Całą resztę życia Belloc był w wojnie z profesorami (historii); nie z tym, czy tamtym profesorem, ale z całą w ogóle wygodną zasiedziałością profesorskiego sposobu patrzenia; dla niego, wszystkie ich założenia były zbudowane na piasku. Temperamentu bojowego, odczuwał on jednak stale wysiłek walki i narzekał na los, który kazał mu żyć po to, by wyprostowywać to, co krzywe, zamiast dzielić ogólny sposób myślenia. A ci, co znajdują przyjemność w wyszukiwaniu w jego dziełach nieścisłości, winni pamiętać, że on pisał dla zarobku. Nie miał do dyspozycji aparatu bibliotek, ani uczniów, którzy by mu pomagali, ani funduszów, które by go utrzymywały; i musiał pisać bez przerwy“.

Nie on pierwszy i nie ostatni wśród nowatorów na polu myśli historycznej narażony był na krytyki „fachowców“, że pomylił się w jakimś drobnym szczególe, zbytnio ufając własnej pamięci. Wartość jednak twórczości tego typu, co dzieła historyczne Belloca, nie może być mierzona tym, czy można, lub nie można zarzucić jakąś skazę jego aparatowi dowodów, lecz tym, czy dzieła te wnoszą rzeczy nowe i prawdziwe do skarbca myśli, czy ich nie wnoszą.

Belloc dokonał ogromnego dzieła. Mianowicie wykazał — w kraju, w którym poza Prusami było to zadaniem najbardziej niewdzięcznym — że system nowoczesnej wiedzy historycznej europejskiej, zbudowany na podstawach ideologii wolnomularskiej, na wierze w pożyteczność dla ludzkości tych przemian, jakie z sobą, w ostatnich czterech stuleciach przyniosła reformacja, racjonalizm, rewolucja, kapitalistyczny liberalizm, naukowy i techniczny postęp, że ten system oparty na uwielbieniu dla potęgi materialnej, jest błędny. Historycy dziewiętnastego stulecia ustanowili szereg dogmatów; ogłosili w Anglii dogmat, że reformacja była faktem zbawiennym, że wieki średnie były okresem ciemnoty i tak dalej. (Podobne rzeczy poustalali ich koledzy we wszystkich innych krajach). Belloc wykazał, że te wszystkie dogmaty nie są warte funta kłaków. Podobnych rewizji dokonano, albo dokonywa się w innych krajach. Ale nigdzie rewizja ta nie była taką rewolucją, jak — mówiąc językiem Monsignora Knoxa — w protestanckiej i plutokratycznej, a dodajmy od siebie, i wolnomularskiej Anglii.

Po śmierci Belloca usiłowano to jego dzieło obalić. Stosowano na ogół wypróbowaną metodę: przemilczenia, oraz zakrzyczenia. Jakże uderzające były wspomnienia pośmiertne o nim! Warto je było w prasie ogólnej (tj. protestanckiej, albo obojętnej religijnie) czytać! Warto także było czytać dyskusje, jakie się na jego temat rozpętały w listach do redakcji. Umarł; no tak, był wielkim człowiekiem; tak jest, przyznajemy, że był wielkim człowiekiem. Był wielkim... no nie, może nie wielkim, ale w każdym razie całkiem niezłym poetą. I był niezłym prozaikiem. Jego poglądy? Ach! Jego poglądy, to już rzecz przebrzmiała. To był oryginał, prawdę powiedziawszy miał nawet trochę hyzia. Nie! Jego poglądy się nie liczą, nawet o nich nie warto wspominać. Zupełnie, zupełnie w swych poglądach nie miał racji.

Prawiono mu dobrodusznie uśmiechnięte komplementy, klepano go po ramieniu — a równocześnie spoza uprzejmych uśmiechów sączyła się nienawiść.

„Druzgocące oskarżenie Belloca pod adresem „oficjalnej“ historii, celebrująco dogmatycznej — pisał ks. Gordon Albion w „The Catholic Times“ (z 24 lipca 1953) — były ongiś zbywane żartem jako „belloquacity“ (loquacity — gadatliwość). Były takie czasy, kiedy zawodowy historyk, rozdrażniony trafnością głównej argumentacji Belloca, starał się obalić jego wnioski przez przyłapanie go na jakiejś pomyłce w szczegółach, albo na niedostateczności dokumentacji i tą drogą starał się wyniośle go przekreślić, jako nie zasługującego na zaufanie. Ale nowsze badania oraz dalszy ciąg dziejów przyznały rację Bellocowi zarówno jako historykowi, jak też jako socjologowi“.

Poglądy historyczne Belloca nie zostały przez protestancką i wolnomularską naukę obalone. Zostały po prostu przywalone powodzią małostkowych polemik o szczególikach bez znaczenia — potem odepchnięte w mrok przemilczenia. Większość historycznych dzieł Belloca jest dziś wyczerpana; można je czytać tylko w bibliotekach lub kupić okazyjnie, w handlu antykwarskim. Przechodzi się nad nimi do porządku sposobem najprostszym: przez to, że się ich nie czyta i że się treść ich ignoruje.

A jednak — Belloc się przemilczeć nie da. Można go zagłuszyć, zatopić w zapomnieniu chwilowo — ale unicestwić go nie sposób. Jest właściwością myśli ludzkiej, że raz sformułowana, oraz ogłoszona, już się zgasić nie da. Zawsze w końcu znajdzie uczniów — którzy nić jej poprowadzą dalej.

Również i za życia jego poglądy były przemilczane i bagatelizowane — a jednak torowały sobie drogę wbrew opiniom „autorytetów“. „Stare roczniki 'The Atheneum', najautorytatywniejszego w owym czasie czasopisma literackiego — pisał Douglas Woodruff w cytowanym już numerze „The Tablet“ — pokazują najlepiej, jak on sobie wywalczał miejsce. Każda nowa jego książka otrzymywała raczej chłodną recenzję, ale taką, że wynikało z niej jasno, iż powaga autora wzrosła i że jego książki dawniejsze, ongiś przyjęte w dokładnie taki sam sposób jak ostatnia, wycisnęły większe piętno, niż się recenzent spodziewał“. Tak jak za życia poglądy Belloca torowały sobie drogę wbrew nieprzychylnym recenzjom i wbrew zwalczającym go autorytetom, tak torują ją sobie i po jego śmierci, pomimo kampanii przemilczania i bagatelizowania.

Frank J. Sheed w tymże samym, poświęconym Bellocowi numerze „The Tablet“ pisał: „Gdy Belloc przyjechał z Oksfordu, wszystkie prądy płynęły w jednym kierunku. Świat nie liczył się z katolickim intelektem i nie miał zwyczaju wysłuchiwania katolików; katolicy, mniejszość, odsunięta na bok, sytuację tę akceptowali. Belloc prądy te odwrócił. Były to dwie bitwy, jedna ze światem, by go zmusić do słuchania, druga z katolikami, by ich pobudzić do stawiania światu czoła. Wygrał pierwszą z tych bitew — a w konsekwencji i drugą, — głównie przez to, że był katolikiem, którego nie można było nie zauważyć; nie można go było ignorować tak samo, jak tygrysa na progu domu: on miał wolę walki i był do tej walki potężnie uzbrojony“.

Beloc wniósł nowe pierwiastki w ocenę historii angielskiej, francuskiej i ogólnoeuropejskiej. Istotą tego jego wkładu jest rehabilitacja stanowiska katolickiego w zmaganiach dziejowych w epoce nowożytnej.

Jako przenikliwy i samodzielnie myślący historyk, Belloc nie mógł nie zauważyć w tych zmaganiach katolickiego czynnika, jakim była Polska. Stąd jego sympatia do Polski — nie irracjonalna bynajmniej, ale oparta na trafnym wyczuciu wartości, jakie Polska sobą przedstawia.

Jędrzej Giertych

ANEGDOTY O CHESTERTONIE I BELLOCU

Hesketh Pearson, pisarz i ongiś także aktor angielski, rzucił świeżo w audycji radiowej garść wspomnień o Chestertonie i Bellocu, z którymi stykał się za czasów swej młodości. Chesterton i Belloc, mimo łączącej ich bliskiej przyjaźni i współpracy (G. B. Shaw ukuł na określenie ich obu łącznie cudaczny skrót „Chesterbelloc“), byli ludźmi o bardzo odmiennych usposobieniach.

Chesterton przy całej swej żywości i bystrości umysłowej był człowiekiem niezmiernie roztargnionym i w życiu praktycznym nie zdającym sobie sprawy, co się wokół niego dzieje. Jego roztargnienie nie zbijało go nigdy z tropu, choć sprawiało kłopoty innym, zwłaszcza gdy Chesterton miał wygłosić odczyt w jakiejś odległej miejscowości. Żona jego otrzymała kiedyś od niego depeszę tej treści: „Jestem w Wolverhampton. Gdzie powinienem być?“ Innym razem spóźnił się o godzinę na pewne zebranie i usprawiedliwiał się takimi słowy: „Moja żona odprowadza mnie zwykle do pociągu, ale nie ma jej nigdy, gdy mam wychodzić z pociągu — toteż wysiadam o jedną stację za daleko“.

Chesterton nie dbał zupełnie o pieniądze; jeżeli znalazł jakie w kieszeni, wydawał je lub dawał komuś innemu. Książki swe sprzedawał za bezcen. Za jeden z najlepszych swych utworów „Napoleona z Notting Hill“ otrzymał 100 funtów, sumę jak na stosunki angielskie śmiesznie niską. Jego wojowniczość [illegible] pisał i mówił, [illegible] go świata. Lubił [illegible] nie palił się do tego, by przeżyć swego oponenta. Gdy [illegible] to koniec argumentu. Namawiano go kiedyś, by kandydował do parlamentu, na co odpowiedział, że zrobi to z przyjemnością, jeśli będzie całkiem pewny, iż przepadnie w wyborach. Zdaje się, że tu Pearson nieco przesadza; Chesterton był człowiekiem gorącej wiary i silnych przekonań i — choć niewątpliwie lubił dyskusje dla dyskusji samej — zależało mu bardzo na zwycięstwie jego poglądu na świat.

Chesterton lubił proste przyjemności i miał proste upodobania. Kiedyś matka małej dziewczynki powiedziała jej, że może dużo nauczyć się od p. Chestertona, który jest bardzo mądrym człowiekiem. Mała zwierzała się później, na czym polegały te lekcje: „Uczył mnie, jak rzucać w powietrze małe bułeczki i chwytać je do buzi“.

Belloc był pod wielu względami zupełnym przeciwieństwem swego przyjaciela. Był on punktualny i dokładny, a także zapobiegliwy w sprawach pieniężnych; utwory swe sprzedawał za najwyższą cenę, jaką mógł uzyskać, i był w pełni świadom, co się dzieje wokół niego. W dokładności swej często przesadzał. Był egotykiem i to czasami doprowadzało do niezwykłych scen. Oto, co opowiada jeden z jego bliskich znajomych, ręcząc za ścisłość tej nieprawdopodobnej historii:

Belloc przybył na dworzec Victoria, dźwigając pod obu ramionami góry książek. Powiedział funkcjonariuszowi kolejowemu, że potrzebuje informacji i rozpoczął od zestawiania swych wydatków na życie; trwało to tak długo, że tymczasem uformowała się za nim cała kolejka i funkcjonariusz próbował zatrzymać płynący z ust Belloca potok statystyki. Nic jednak nie mogło odstraszyć Belloca, który oszacował swój roczny dochód i jego ewentualne fluktuacje, koszty utrzymania domu, potrzeby szkolne swoich dzieci, koszta odzieży, światła, opału i żywności. Podczas tego dyskursu ktoś zniecierpliwiony w kolejce rzucił jakieś przekleństwo. Belloc przerwał swe wywody, wręczył owemu jegomościowi książkę o trygonometrii i zwrócił się znowu do urzędnika: „Jestem w drodze do Paryża i oto co zaprząta moją głowę: czy wobec tych wszystkich okoliczności powinienem wziąć bilet pierwszej klasy?“

Jeśli ta historia jest prawdziwa, to dalibóg Belloc — człowiek zresztą także bardzo dobrego serca — był przy całej swej trzeźwości oryginałem większym jeszcze od Chestertona.

URSZULA PRĄDZYŃSKA

PORTUGALIA NIE JEST MAŁYM KRAJEM

Portugalia jest niepodległym państwem od XII wieku. Do 1910 roku była królestwem. Ostatni król portugalski Manuel z domu Braganza - Coburg został zmuszony do abdykacji po krótkiej rewolucji, którą zakończono ogłoszeniem Portugalii republiką, dnia 5 października 1910 roku. Mocarstwa obce oficjalnie uznały rząd republikański w Portugalii dopiero dnia 11 września 1911 roku.

Obecnie obowiązująca w Portugalii konstytucja została przyjęta przez plebiscyt dnia 19 marca 1939 r. Według tej konstytucji obywatele portugalscy wybierają co 7 lat nowego prezydenta, a prawo do głosowania mają wszyscy pełnoletni mężczyźni i kobiety.

Lata od 1910 do 1926 były bardzo burzliwe wskutek ciągłych walk o władzę. W tym okresie Portugalia miała 8 prezydentów, z których 3 zostało zabitych, a pozostali sami zrezygnowali, względnie zostali usunięci ze swego stanowiska.

W listopadzie 1926 roku prezydentem został wybrany marszałek Antonio Oscar Fragoso Carmona, który utrzymał się na tym stanowisku aż do śmierci tj. do 1951 roku. Dzisiaj prezydentem Portugalii jest generał Craveiro Lopez. Rola ostatnich dwóch prezydentów jest niewielka, gdyż od 30 lat Portugalią rządzi tylko jeden człowiek, dr Antonio de Oliviera Salazar, który oficjalnie zajmuje stanowisko premiera.

W każdej szkole portugalskiej i w każdym urzędzie wisi mapa kraju wraz z posiadłościami zamorskimi, a pod nią figuruje podpis: „Portugalia nie jest małym krajem". Rzeczywiście, sama tylko Angola, posiadłość w południowej Afryce, jest 14 razy większa od kraju macierzystego. Drugą co do wielkości jest Mozambik w południowo - wschodniej Afryce (posiadłość 9 razy większa od Portugalii). Oprócz wyżej wymienionych należą do Portugalii na terenie Afryki: Guinea, wyspy Cap Verden oraz wyspy St. Thomé. Posiadłości afrykańskie zajmują razem obszar 794,957.10 mil kwadratowych (angielskich), podczas gdy sama Portugalia ma tylko 91,721,10 mil kw. ang. Do Portugalii należy również wyspa Timor u wybrzeży Australii, oraz posiadłości w Indiach, które są ostatnio przedmiotem sporu pomiędzy Portugalią a rządem Nehru.

Posiadłości zamorskie zawsze nazywano koloniami. Portugalia przestała używać tego słowa. W okresie, kiedy takie mocarstwa kolonialne jak Anglia i Francja przechodziły ostry kryzys, tracąc jedną kolonię po drugiej, Portugalia podjęła walkę o utrzymanie swoich posiadłości. Walkę tę można porównać do próby wyskoczenia zawczasu z pędzącego w przepaść autobusu imperializmu kolonialnego. W ustawodawstwie portugalskim przeprowadza się obecnie duże zmiany, których celem jest „stopienie" w jedną całość kraju macierzystego z posiadłościami zamorskimi.

Jeszcze w 1936 roku Francisco J. V. Machado, ówczesny minister kolonialny powiedział: „Młodzież Portugalii musi być wychowywana w tym przekonaniu, że kolonie to najważniejszy cel istnienia naszego narodu". W cztery lata później, premier Salazar otwierając wystawę kolonialną żądał, aby kolonie „stały się wysoką szkołą nacjonalizmu portugalskiego". Ale już w 1952 roku w Lizbonie, na konferencji NATO, admirał Ottings de Bettencourt zapytany przez Eisenhowera o kolonie powiedział: „Kolonie? Panie Eisenhower, my nie mamy kolonii. Jest tylko jeden portugalski naród".

Anglia i Francja przyznają otwarcie, że ich zadanie dzisiaj polega na tym, aby pomóc zamorskim narodom w usamodzielnieniu się. W Londynie i Paryżu dyplomaci unikają słowa „posiadłość". W Lizbonie natomiast mówi się o Mozambiku, Angoli, Guinei itd. tak jakby to były takie części kraju jak w Anglii: Lancashire, Yorkshire czy Lincolnshire. Jeśli prezydent Portugalii wizytuje szkoły np. w Angoli, to nie mówi się o tym inaczej, niż jakby się mówiło o wizycie królowej angielskiej w jednym z tutejszych hrabstw.

To, co Anglicy nazywają „burden of the white man", mając na myśli obowiązek podniesienia przez białych standardu życiowego kolorowych narodów, było dla Portugalii zawsze najwyższym zadaniem. Papież Aleksander VI, z rodu Borgiów, nadał Portugalii patronat nad zamorskimi posiadłościami w 1494 roku w Tordesillas, z tym, że jej głównym zadaniem będzie krzewienie religii chrześcijańskiej. Akt papieski był dla Portugalii przez całe wieki przewodnikiem.

Nie znaczy to bynajmniej, że portugalskie metody kolonizacyjne były mniej brutalne od angielskich czy francuskich. Wręcz przeciwnie, demokratycznej wolności prasy, prawa tworzenia związków zawodowych i partii politycznych nigdy nie było w posiadłościach portugalskich i do dziś dnia ich nie ma. Wolność, samorząd i emancypacja to słowa tu nieznane. A jednak Portugalia utrzymuje ład w swoich posiadłościach i to przy pomocy po prostu garstki policjantów. Anglia i Francja utrzymują w swoich koloniach całe dywizje, które częściowo muszą walczyć. W Angoli Portugalczycy trzymają tylko 12 kompanii piechoty, 2 baterie artylerii i 1 szwadron kawalerii. Pomimo to nie wydaje się możliwe, aby w posiadłościach portugalskich wybuchł bunt jak w Maroku, czy żeby zawiązała się np. organizacja terrorystyczna podobna do Mau-Mau.

Tę stabilizację stosunków Portugalia zawdzięcza przede wszystkim Kościołowi katolickiemu, dokładniej mówiąc doskonale zorganizowanym placówkom misyjnym. W zasadzie w posiadłościach portugalskich istnieje wolność religii i wolno tam nauczać również misjonarzom innych wyznań. W praktyce jednak jest dosyć dróg administracyjnych, aby temu zapobiec. Dzięki temu tubylcy nie potrzebują patrzeć na to jak baptyści „kradną" dusze metodystom, prezbiterianie protestantom, a wszyscy razem katolikom. To haniebne „widowisko" głównie przyczyniło się do tego, że w pozostałych częściach Afryki Murzyni stają się coraz częściej oportunistami, hipokrytami i zdrajcami sprawy europejskiej. Jak bardzo Portugalia odizolowała swoje posiadłości od wpływów innych religii uwidocznia chyba najbardziej fakt, że w 1952 roku odmówiono wizy wjazdowej Ali Khanowi, synowi Agi Khana, przywódcy sekty ismaelitów. Kościół katolicki odegrał bezsprzecznie dużą rolę w portugalskiej polityce kolonialnej, a do jego popularności przyczynił się również fakt, że dozwolone są małżeństwa białych z Murzynami, jeśli obie strony są wyznania rzymsko-katolickiego.

Drugim ważnym punktem w portugalskiej polityce kolonialnej są sprawy oświatowe. Portugalia jest jedynym z państw kolonialnych, które potrafiło rozwiązać problem czarnych intelektualistów i robotników. Państwom kolonialnym najbardziej zaszkodziło to, że pozwalały tubylcom studiować bez żadnych ograniczeń. Dzisiejsi przywódcy czarnych komunistów, to wychowankowie różnych uniwersytetów europejskich, którzy razem z białymi studentami zdobywali stopnie naukowe, a po powrocie do rodzinnych krajów Europejczycy nie pozwalali im nawet na zatrzymywanie się w swoich hotelach, gdyż dla nich pozostali oni tylko „coloured people". To było zalążkiem walki przeciw kolonizatorom europejskim. Nie znaczy to jednak, że dla kolorowych poddanych portugalskich szkoły i studia są niedostępne. Wręcz przeciwnie. W Mozambiku np. istnieje około 550 szkół państwowych i około 450 szkół misyjnych. Są to jednakże wszystko 6-klasowe szkoły powszechne — uczęszczanie do nich jest obowiązkowe. Natomiast jest tam tylko 1 seminarium nauczycielskie i 6 gimnazjów. W takich warunkach analfabetów jest bardzo mało, czego nie można powiedzieć o koloniach innych mocarstw, ale studia wyższe są otwarte tylko dla niewielu najzdolniejszych. Jednakże Murzyn, który skończył uniwersytet, ma drogę otwartą do najwyższych urzędów — jedynie stanowisko gubernatora jest zarezerwowane dla białego urzędnika. Tak więc Murzyni z posiadłości portugalskich mają możność zaspokojenia swoich ambicji po ukończeniu studiów. Tym samym nie mają żadnych powodów do niezadowolenia i buntowania się, tylko są wiernymi sojusznikami rządu portugalskiego, któremu zawdzięczają stanowisko, majątek i poważanie, jakim się cieszą.

Trzecim ważnym czynnikiem, który ułatwia rządowi portugalskiemu utrzymanie swoich posiadłości zamorskich, jest prowadzona tam umiejętnie polityka rolna. W posiadłościach portugalskich nie ma latifundiów, jak np. w Kenii, gdzie lord Delaware posiada majątek liczący około 100.000 ha, czy też jak w koloniach francuskich, gdzie olbrzymie połacie ziemi należą do towarzystw, które prowadzą gospodarkę rabunkową. Tak zwana „polityka pionierska" stawia na pierwszym planie dwa ważne zadania: masowe sprowadzanie białych kolonistów do Afryki i kierowanie nimi, oraz osiedlanie tubylców. Klimat w Angoli jest bardzo zbliżony do europejskiego, a góry, doliny rzek i płaskowyża przypominają kolonistę portugalskiemu swoim wyglądem ojczyznę iberyjską. Rząd dąży więc do tego, aby tutaj osiedlić jak najwięcej kolonistów portugalskich i stworzyć im zewnętrznie takie warunki, jakie są w kraju. Budują się całe wsie, które wyglądają jakby przeniesione z ojczyzny. Białe domy z czerwonymi dachami i dużymi werandami, solidne budynki gospodarskie, a w nich bydło i maszyny, czekają na kolonistę portugalskiego, a rząd na miejscu udziela bardzo daleko idącej pomocy w każdym wypadku. Tylko jeden warunek: kolonista portugalski zobowiązany jest wyznaczyć granice ziemi, którą chce wziąć w posiadanie w ciągu 5 lat, oraz uprawiać co najmniej 10% tego obszaru. Przy czym nie wolno mu brać zastępcy czy rządcy. Nie wolno mu również wynajmować Murzynów do posług w domu, do paszenia bydła, czy do innej „poniżającej" pracy.

Niektóre z tych osiedli mają atmosferę tak bardzo portugalską, że nowoprzybyły bardzo szybko zapomina, że jest w Afryce, a nie w Europie. To jest bardzo ważne, gdyż dotychczas Portugalczycy niechętnie emigrowali do Afryki, która w ich pojęciu była zawsze tylko tym nieprzyjaznym, czarnym lądem. Znacznie więcej pociągała ich emigracja do Brazylii, gdzie wielu ma rodziny i przyjaciół, którzy mówią ich językiem i żyją w ich stylu. W 1953 roku wyemigrowało do Brazylii 42.000 Portugalczyków, a do Afryki tylko 13.000. Dlatego rząd robi wszystko, aby zachęcić swoich obywateli do emigracji do Afryki. Śmiałe projekty mówią o przerzuceniu 250.000 rodzin w ciągu najbliższych 30 lat. Jednym z obszarów, który się obecnie przygotowuje do przyjęcia nowych osadników, jest dolina rzeki Kunene w Angoli. W 1954 roku rozpoczęto tam budowę olbrzymiej zapory wodnej, która ma nie tylko uregulować nawodnienie, ale również dostarczyć prądu elektrycznego dla całego terenu. Elektryfikacja tych terenów pozwoli kolonistom na łatwiejsze obchodzenie się bez czarnej siły roboczej, na której dotychczas głównie opierała się produkcja afrykańska.

Najbardziej posunięta jest kolonizacja w dolinie rzeki Kassai. Tam, na wysokości 1300 m nad poziomem morza, dojrzewają europejskie zboża, warzywa, kartofle i owoce, a koloniści uprawiają wszystkie pola i plantacje kawy bez pomocy tubylców. Tych osadników zwerbowano spośród najbiedniejszych mieszkańców Portugalii, którzy w ojczyźnie mieli jakąś niepokaźną chatkę, kilka zawsze głodnych kóz, sami zaś byli bez pracy i nie widzieli przyszłości dla swoich dzieci. W dolinie Kassai czekały na nich 40 hektarowe gospodarstwa, kompletny żywy i martwy inwentarz, pełna śpiżarka, a nawet nakryty stół.

Pomimo tych daleko idących planów emigracyjnych rząd przeznaczył 2/3 uprawnej ziemi dla tubylców. Plan osiedlania tubylców został bardzo starannie opracowany i to na szeroką skalę. Wydaje się on starym kolonistom portugalskim taką samą utopią i szaleństwem jak masowe sprowadzanie białych emigrantów z ojczyzny. Trudno dzisiaj przewidzieć, jakie będą rezultaty „polityki pionierów". Osiągnięcia czy niepowodzenia uwidocznią się dopiero w następnych pokoleniach. Dzisiaj można powiedzieć tylko jedno, że w swoich posiadłościach rząd portugalski zrobił wszystko, aby zapobiec wytworzeniu się warstwy niezadowolonych i rozgoryczonych Murzynów, oraz anty-europejskich agitatorów. W prowincji Kongo, gdzie są największe plantacje kawy, udało się osiedlić koczujących Murzynów i zrobić z nich zamożnych plantatorów. Osiedlani tubylcy otrzymują tak samo jak ich biali sąsiedzi dużą pomoc od rządu, a państwowi agronomowie uczą ich i pomagają im w zagospodarowaniu się. Uige, nowa stolica prowincji Kongo, rozbudowuje się coraz bardziej w stylu Sao Paolo. W starej stolicy, w Luandzie, która jest najważniejszym portem na zachodnim wybrzeżu Afryki, ok. 55.000 czarnych i metysów w najlepszej żyje zgodzie i harmonii z 22.000 białych.

W posiadłościach portugalskich nie ma tej wolności, jaką inne mocarstwa kolonialne musiały przyznać tubylcom. Jeśli zwrócić na to uwagę w Lizbonie, można być pewnym odpowiedzi, że „Murzyn z plemienia Mbundu czy też innego nie potrafi sobie nic wyobrazić pod słowem wolne wybory". Natomiast zawsze podkreśla się to, że w posiadłościach portugalskich pijaństwo i choroby weneryczne są prawie nieznane, a to jest wielkim postępem w przeciwstawieniu do wolności w innych koloniach.

Rząd portugalski wierzy, że przy pomocy katolickich placówek misyjnych rozszerzy się proces kierowania szerokich mas do zawodów technicznych, że przy sprawiedliwej polityce agrarnej uda mu się utrzymać swoje posiadłości zamorskie nawet w obecnych czasach przełomowych dla stosunków kolonialnych na całym świecie.

Urszula Prądzyńska

ŻYCIE NAUKOWE

Kongres slawistów w Montrealu

Doroczny kongres slawistów zrzeszonych w Kanadyjskim Związku Slawistów i w stowarzyszonych z nim instytucjach odbył się na uniwersytecie montrealskim w dniach 9, 10 i 11 czerwca. Głównym organizatorem zjazdu i przewodniczącym sesyj kongresu był prof. T. F. Domaradzki, dyrektor Centrum Studiów Słowiańskich Uniwersytetu Montrealskiego, prezes ECASEES oraz wiceprezes CAS. Zebrania dzieliły się na sesje administracyjno-zawodowe i na posiedzenia naukowo-sprawozdawcze. W pierszym dniu dokonano wyboru nowych władz Kanadyjskiego Związku Slawistów w składzie: prof. L. I. Strakhowsky z uniwersytetu torontońskiego — prezes; prof. T. F. Domaradzki z uniwersytetu montrealskiego — pierwszy wiceprezes; prof. J. Rudnyckyj z uniwersytetu Manitoby — drugi wiceprezes; prof. J. Bida z uniwersytetu ottawskiego — trzeci wiceprezes; prof. J. Havelka z uniwersytetu montrealskiego i McGill'u — sekretarz i skarbnik; prof. V. Lalich z uniwersytetu montrealskiego — drugi sekretarz. Protonotariusz apostolski — mgr Olivier Maurault, b. rektor uniwersytetu montrealskiego, został wybrany prezesem honorowym CAS w uznaniu jego wielkich zasług dla powstania i rozwoju Centrum Studiów Słowiańskich. W ten sposób Związek zyskał jednego z najwybitniejszych w Kanadzie historyków kultury i posiada obecnie dwóch prezesów honorowych, gdyż przed dwoma laty godność tę otrzymał jeden z pionierów slawistyki kanadyjskiej prof. W. J. Rose. Wobec uchwały zjazdu, mocą której ECASEES (Wschodnio-Kanadyjski Związek Slawistów i Specjalistów Europy Wschodniej) został afiliowany do CAS (Kanadyjskiego Związku Slawistów), ten ostatni zyskał również patronat członków honorowych ECASEES w osobach: Jean Bruchési, ministra prowincji Quebec; H. Noel Fieldhouse, dziekana wydziału hum. uniwersytetu McGill; Watson Kirkconnell, prezydenta Acadia University; mgr Irénée Lusier, rektora uniwersytetu montrealskiego; mgr Olivier Maurault, b. rektora uniw. montreal.; ks. kan. Artura Sideleau, dziekana wydziału humanistycznego uniw. montrealskiego; senatora Williama M. Wall i Edwarda S. Witkowskiego, prezesa Fundacji Paderewskiego.

Podczas sesji niedzielnej zostały wygłoszone trzy referaty: prof. K. Bidy — „Element religijny w dziełach Iwana Franko"; prof. L. I. Strakhowsky'ego — „Generał hrabia N. P. Ignatiew i ruch pansłowiański" oraz prof. M. Mladenovica — „Nowa historiografia jugosłowiańska a zagadnienie feudalizmu w średniowiecznej Serbii".

Wieczorem tego dnia rozpoczęła się druga część zjazdu, a mianowicie połączony kongres slawistów kanadyjskich i amerykańskich. Staraniem Centrum Studiów Słowiańskich uniwersytet urządził dla uczestników kongresu bankiet, który pozwolił im na towarzyskie zbliżenie się i spędzenie czasu w przyjacielskiej atmosferze.

W poniedziałek, 11 czerwca przed południem, podczas pierwszej sesji połączonego kongresu slawistów kanadyjskich i amerykańskich, przewodniczył ks. W. C. Jaśkievicz, prezes AATSEEL (Amerykański Związek Wykładowców Języków Słowiańskich i Wschodnio - Europejskich). Prof. T. F. Domaradzki, jako przewodniczący Komitetu Koordynacyjnego Slawistów Kanadyjskich i Amerykańskich, przedstawił w zarysie rozwój organizacyj slawistów w Kanadzie i ich kontaktów z pokrewnymi związkami w Stanach Zjednoczonych oraz przedłożył wnioski w sprawie przyszłej współpracy kanadyjsko - amerykańskiej. W rezultacie dyskusji i głosowania wszystkie te wnioski oraz program prac i skład osobowy Komitetu Koordynacyjnego na rok 1956/57, zostały jednomyślnie zatwierdzone. Prof. A. P. Coleman wyraził uznanie dla już przez Komitet osiągniętych wyników współpracy i podkreślił znaczenie tej inicjatywy na najbliższą przyszłość. W dalszym ciągu zebrania przedpołudniowego ks. W. C. Jaśkievicz, dyrektor Instytutu Studiów Rosji Nowożytnej uniwersytetu Fordham, mówił na temat „Wyższe studia slawistyczne w Ameryce Północnej". Podkreślił on m. in. wielkie dokonanie w tej dziedzinie Centrum Studiów Słowiańskich. Podkreślił też, podobnie jak i kilku innych slawistów biorących udział w dyskusji, wartości naukowe oraz wysoki poziom ideowy i estetyczną szatę „Slavic and East - European Studies". Kwartalnik ten uzyskał całkowite poparcie nie tylko walnego zebrania ECASEES, ale również przez kongres CAS'u został zaaprobowany i zalecony członkom na równi z ukraińsko- angielską publikacją „Slavistica Canadiana" oraz z będącym w przygotowaniu rocznikiem „Slavonic Papers".

Miłą niespodzianką dla zebranych był przyjazd na kongres ojca jezuity Bissonette, b. kapelana ambasady Stanów Zjednoczonych i korpusu dyplomatycznego w Moskwie. Ks. Bissonette, czyniąc zadość prośbom obecnych, przedstawił rewelacyjne dane o życiu religijnym w Rosji, skąd został wydalony przez rząd sowiecki.

Dwie popołudniowe sesje były kolejno poprowadzone przez ks. prałata Olivier Maurault i przez gen. R. O.G. Morton'a Spośród licznych gości zamiejscowych najsympatyczniejszymi dla polskich uczestników kongresu byli państwo Arturowie Coleman, oboje nasi oddani przyjaciele od lat wielu i oboje bardzo zasłużeni na polu krzewienia znajomości słowa polskiego w Ameryce Północnej. Prof. Coleman wygłosił referat pt. „Studia polonistyczne w USA". Jako jeden z pionierów polonistyki w Stanach a obecnie rektor Kolegium Związkowego, prelegent wykazał świetną znajomość przedmiotu i dał bardzo ciekawy obraz pracy i dziejów tej jedynej polskiej wyższej uczelni w tym kraju, jeżeli nie liczyć Seminarium i Kolegium w Orchard Lake, jako że te zasłużone instytucje są przeznaczone tylko dla duchownych. Prelegent uwypuklił również wielkie zasługi Związku Narodowego Polskiego, który za pośrednictwem swego Kolegium oraz szeregu innych inicjatyw, pracuje stale nad szerzeniem kultu dla języka i cywilizacji polskiej. Z kolei pani Marion Coleman zapoznała zebranych z wydawnictwami polonistycznymi w Ameryce Północnej, ubolewając nad znikomą ilością publikacji tego rodzaju w języku angielskim.

Polonica były również tematem referatu prof. Domaradzkiego, który przedstawił fragment swoich badań nad „Bogurodzicą" i jej legendą pt. „Bogurodzica w ocenie Mickiewicza i Norwida". Również polskiej nauki dotyczył referat prof. W. J. Wagnera z Uniwersytetu Notre Dame, który mówił na temat wkładu słowiańskiego do nowożytnej koncepcji prawa i moralności, uwypuklając rosnące w Ameryce zainteresowanie Petrażyckim i jego teorią. Inny polski uczony prof. Jan Miś z Nowego Jorku przedstawił „Wkład naukowy Misji rosyjskiej w Jekinie w XVIII wieku". Również bardzo ciekawy był referat prof. Litwinowicza z Ottawy pt. „Niektóre aspekty rusycystyki w Kanadzie". Omawiając rozwój studiów rosyjskich w głównych ośrodkach im poświęconym, a mianowicie na uniwersytetach w Montrealu, Vancouver i Toronto, jak również w Ottawie, prof. Litwinow podkreślił fakt, że w zakresie studiów magisterskich i doktorskich Centrum Studiów Słowiańskich uniwersytetu montrealskiego stoi na pierwszym miejscu w Kanadzie. Jest ono jednocześnie głównym ośrodkiem badań sowietoznawczych.

Z zaprzyjaźnionych instytucyj naukowych podkreślić należy również udział w kongresie jeszcze jednego polskiego specjalisty zagadnień Europy wschodniej, p. Jana Doliny, delegata Mid-European Studies Center z Nowego Jorku.

Wiele osobistości ze świata naukowego i politycznego Kanady wzięło udział pośredni lub bezpośredni w pracach montrealskiego zjazdu slawistów, żeby tu wymienić choćby przewodniczącego jednej z sesyj kongresowych, gen.-majora R. O. G. Mortona, b. delegata Kanady do NATO. Od wielu lat współpracuje on z Centrum Studiów Słowiańskich i jest prezesem honorowym wyłonionego przezeń Instytutu Badań nad Europą Środkową i Wschodnią.

Wyrazem zainteresowania szerokich kół kanadyjsko - amerykańskich kongresem slawistów był m. in. udział w nim przedstawicieli prasy oraz telewizji i radia. Program zjazdu był częściowo transmitowany przez miejscowe stacje telewizyjne i radiowe oraz nadany w audycjach specjalnych na Europę. Wyróżnił się tu szczególnie dr M. Sangowicz, jako szef ekipy polskiej CBC, która przeprowadziła największą ilość nagrań i wywiadów, przeznaczonych dla słuchaczy w Polsce.

M. Z.

LISTY Z NIEMIEC

Inicjatywy i hamulce

BUDOWA NIEMIECKICH OŚRODKÓW ATOMOWYCH

Od czasu zamianowania bawarskiego polityka chrześcijańsko społecznego, F. J. Straussa, ministrem dla spraw atomowych postępują z dużą szybkością niemieckie przygotowania do budowy własnych ośrodków atomowych. Z referatu, wygłoszonego pod koniec czerwca przez ministra Straussa w Berlinie wynika, że reaktory atomowe powstaną w najbliższym czasie w Berlinie, Hamburgu, Monachium, Frankfurcie i Kolonii. Wielkie niemieckie centrum atomowe pobudowane zostanie w Karlsruhe w Badenii. Tegoroczny budżet Niemieckiej Republiki Federalnej przewiduje na cel powyższy 43 miliony marek (ok. 4 milionów funtów). Pierwsza faza budowy centrów atomowych potrwa około 5 lat.

Jak donosi tygodnik niemiecki „Spiegel" — minister Strauss udaje się w najbliższym czasie do Stockholmu w celu zbadania możliwości pokrywania w przyszłości niemieckiego zapotrzebowania na uran wyłącznie **w neutralnej Szwecji.** Tą drogą chciałby Strauss uniezależnić niemiecką produkcję siły atomowej od mocarstw zachodnich.

INSTYTUT DLA ZWALCZANIA RAKA

W Getyndze powstaje niemiecki Instytut dla zwalczania raka.

OGÓLNO-NIEMIECKI SYNOD KOŚCIOŁA EWANGELICKIEGO

Pod koniec czerwca obradował we wschodnim Berlinie ogólno-niemiecki Synod Kościoła ewangelickiego, na który przybyło 120 świeckich członków Synodu oraz wszyscy biskupi i prezydenci kościołów ewangelickich ze wschodnich i zachodnich Niemiec. Wśród cywilnych członków Synodu bierze udział w obradach berlińskich m. i. prezydent Bundestag'u w Bonn, dr E. Gerstenmaier. Na Synodzie są reprezentowane oba rządy niemieckie, zachodni przez ministra von Merkatza, wschodnio - niemiecki przez wicepremiera O. Nuschkego, przewodniczącego wschodniej reżymowej chrześcijańskiej demokracji. Generalny superintendent Jacob z Chociebuża (Kottbus we wschodnich Niemczech) poddał ostrej krytyce politykę rządu wschodnio-niemieckiego, utrudniającego na każdym kroku swobodną działalność duszpasterską. Synod wypowiedział się **przeciwko** powszechnemu obowiązkowi służby wojskowej w Niemczech. Wybrano pięcioosobową delegację, mającą przedstawić rządom w Bonn i Pankow (wschodni Berlin) punkt widzenia Kościoła ewangelickiego na problem przymusu służby w niemieckich, wschodnich i zachodnich formacjach wojskowych.

WALKI POLITYCZNE KOŚCIOŁA EWANGELICKIEGO

Niedawno obradowała w Hanowerze Rada Kościołów Ewangelickich w Niemczech (EKD), przy czym przedmiotem obrad było m. in. położenie Kościoła ewangelickiego na obszarze sowieckiej strefy okupacyjnej oraz rola prezydenta Kościoła w Hesji, Niemöllera, dotychczasowego kierownika biura zagranicznego Rady, będącego przedmiotem ostrej krytyki z powodu uległości jego w stosunku do reżymu komunistycznego. Niemöller, broniąc swej pozycji, wystąpił z kontroskarżeniem, twierdząc, że niedawna audiencja biskupa Dibeliusa u Papieża nie miała niczego innego na celu, jak „włączenie kościołów ewangelickich w jednolity front chrześcijański" przy jednoczesnym wyeliminowaniu tych kierowniczych osobistości, które frontowi takiemu się sprzeciwiają.

W praktyce sprowadzała się ta kontrowersja do kwestii nowej obsady kierownictwa biura zagranicznego Rady, skupiającego w swoich rękach wszystkie kontakty z zagranicznymi Kościołami protestanckimi, lub pokrewnymi (prawosławie). Niemöller, za którym stoi odłam tzw. Kościoła unijnego, jest prosowiecki i — mimo jego bezspornie bohaterskiej postawy w walce z hitleryzmem — jest czołowym „fellow-travellerem" niemieckich kół prokomunistycznych. Z tego powodu zarówno polityczne jak i kościelne posunięcia jego były przedmiotem stałej krytyki kół tzw. Kościoła luterańskiego, które czuły się odsunięte od wpływu na politykę „biura zagranicznego".

Kilkudniowe obrady zakończyły się pozornym kompromisem. Nastąpiła tymczasowa reorganizacja Rady Kościołów Ewangelickich w Niemczech. W wyniku jej Niemöller przestał być kierownikiem biura, a objął jedynie jako członek Rady referat zagraniczny, któremu podlegać będzie „biuro zagraniczne", obsadzone przez inną, mniej eksponowaną, osobistość. Faktyczne rozprawienie się dwóch, wzajemnie zwalczających się kierunków Kościołów ewangelickich, nastąpić miało dopiero na ogólnoniemieckim synodzie Kościołów, którego początkowo na jesień planowany termin został przyspieszony.

NIEMCY CHCĄ PODNIEŚĆ SPRAWĘ KATYNIA

W berlińskim dzienniku socjaldemokratycznym „Der Telegraf" (14.6.56) ukazał się artykuł przypominający sprawę Katynia. Autor artykułu zastanawia się nad kwestią, czy po ustąpieniu Mołotowa Rosja zezwoli rządowi warszawskiemu na powiedzenie prawdy w sprawie Katynia. Niemcy, obarczeni przez Rosję odpowiedzialnością za popełnienie zbrodni katyńskiej, są szczególnie zainteresowani — dowodzi autor — w całkowitym wyświetleniu tej sprawy. Jeśli Polska nie zdobędzie się na przyznanie winy sowieckiej, to — zdaniem autora artykułu — Niemiecka Republika Federalna (Bonn) winna podjąć w tej sprawie odpowiednie kroki, przy czym to jej usiłowanie spotkać się winno z poparciem tych wszystkich czynników, które w tej sprawie zebrały bezsporne dowody winy sowieckiej. Wyjaśnienie sprawy Katynia powinno być — według opinii autora — wstępnym warunkiem ewentualnych rozmów Bonn z Warszawą na temat ułożenia stosunków pomiędzy obu państwami.

DZIESIĘCIOLECIE „GÖTTINGER ARBEITSKREIS"

W roku 1946, z inicjatywy ostatniego kuratora Uniwersytetu w Królewcu, dra Friedrich Hoffmanna, powstał w Getyndze tzw. „Göttinger Arbeitskreis", skupiający niemieckich naukowców, czynnych poprzednio w wyższych uczelniach oraz instytutach obszarów, utraconych na wschodzie. Zespół ten powołany został początkowo w celu opracowania pierwszego po wojnie memoriału niemieckiego w sprawie Prus Wschodnich, który miał być przedłożony konferencji ministrów spraw zagranicznych wielkich mocarstw w Moskwie w roku 1947. Z czasem działalność zespołu została rozszerzona, włączono w nią problemy dotyczące i wszystkich innych byłych niemieckich obszarów na Wschodzie. Dotychczasowy dorobek tej instytucji, będącej naukową centralą niemieckich poczynań rewizjonistycznych, wyraża się w opublikowaniu 150 większych prac, 57 zeszytów, zawierających materiały dotyczące „niemieckiego wschodu", a przeznaczone dla szkół niemieckich (o łącznym nakładzie 180 tysięcy) oraz w 12 publikacjach periodycznych, względnie biuletynach prasowych, wydawanych w języku niemieckim i w językach obcych.

„Göttinger Arbeitskreis", na czele którego stoi obecnie profesor prawa międzynarodowego dr Herbert Kraus, obchodził w roku bieżącym dziesięciolecie swego istnienia. Z tej okazji odbyło się w auli Uniwersytetu w Getyndze uroczyste zebranie oraz naukowe posiedzenia, na których referowano dotychczasowe wyniki badań i prac nad „utraconymi ziemiami wschodnimi".

UROCZYSTE ZAKOŃCZENIE ROKU W POLSKIEJ SZKÓŁCE W BERLINIE

W dniu 30 czerwca odbyła się uroczystość zamknięcia roku szkolnego polskiej szkółki w Berlinie, którą zorganizowano rok temu. Do szkółki uczęszczało 17 dzieci. Nauka odbywała się raz w tygodniu w soboty. Ogółem miały miejsce w ciągu roku szkolnego 34 dni nauki. Opiekę nad szkółką wykonuje Polski Komitet Społeczny z panią Andrzejewską na czele. Funkcję nauczycielki pełniła była nauczycielka w Polsce pani Hamerowa z Berlina. Szkółka korzystała z pomocy finansowej, udzielanej ze źródeł społecznych, uruchomionych przez ks. dr. Kocura w Rosenheim, w Bawarii, z pomocy finansowej Zarządu Głównego Związku Polaków w Niemczech oraz doraźnych ofiar Polaków berlińskich.

Na uroczystości zamknięcia, w której uczestniczyli przedstawiciele berlińskich organizacji polskich oraz rodzice dzieci, zdano sprawozdanie z działalności szkółki, po czym odbyła się lekcja popisowa dzieci. Na zakończenie ugościł Komitet Społeczny dzieci kawą, ciastami i słodyczami. W ciągu lipca wyjeżdżają uczniowie i uczennice szkółki na kolonie letnie w okolice Salzburga, zorganizowane dzięki staraniom Rady Polonii Amerykańskiej i Związku Polaków w Austrii.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 22 lipca 1956.
NIEDZIELA, 29 lipca 1956.

NASZE SPRAWY

O KATOLICKIEJ DYSCYPLINIE

Zasadą Kościoła katolickiego jest nie tylko wiara, ale i posłuszeństwo. Aby być dobrym katolikiem, trzeba nie tylko wierzyć w prawdy wiary i nie tylko stosować się do przykazań Bożych, ale także stosować się do przykazań i nakazów kościelnych. Nakazy te mogą być nałożone dziś, a cofnięte jutro, ale to nie zmienia faktu, że obowiązują one w sposób wiążący.

Człowiek, który czci ojca swego i matkę swoją, który nie zabija, nie cudzołoży, nie kradnie, nie mówi fałszywego świadectwa, ale który zarazem nigdy nie bywa na Mszy św. i nigdy się nie spowiada, może być bardzo zacnym człowiekiem, może być także bardzo dobrym protestantem, lub bardzo szlachetnym ateistą, ale z pewnością nie jest on katolikiem. Cechą prawdziwego katolika jest, obok wiary i moralności, także i kościelna dyscyplina.

Otóż zbyt wiele jest w naszym społeczeństwie pewnego rodzaju anarchii, czy też ducha buntowniczego, który nic sobie z nakazów Kościoła nie robi, który o tych nakazach nic nie wie i wiedzieć nie chce, albo jeśli wie, to je sobie lekceważy.

Weźmy parę przykładów.

Piątek. Dzień św. Piotra i Pawła.

— Może się spotkamy dziś wieczorem? Chcę z panem pomówić.

— Nie mogę. Nie byłem jeszcze na Mszy św. Idę na Mszę wieczorną.

Mój rozmówca nie rozumie.

— Widzi pan, wyjaśniam, ja należę do wyznania katolickiego. W Kościele katolickim istnieje obowiązek uczęszczania na Mszę św. do kościoła we wszystkie niedziele i w niektóre święta. Dzisiejszy dzień jest właśnie takim świętem. Ja pracuję od 9 rano do 6 wieczorem, a jadę do pracy godzinę, toteż nie chciało mi się wstać na bardzo wczesną, ranną Mszę św. Ale w mojej parafii odprawiana jest dziś także Msza św. wieczorna o godzinie 8.15. Upewniłem się co do tego jeszcze wczoraj wieczorem i idę na Mszę św.

Mój rozmówca jest skonfundowany. Okazuje się, że i on także jest katolikiem i nie uważa się za katolika tylko nominalnego. Bywa na Mszy św. w niedziele całkiem regularnie.

— Zupełnie o tym nie wiedziałem.

— Jak to? Bywa pan na Mszy św. w niedziele i nie słyszał pan, że ksiądz z ambony przypominał?

— Nie przypominał.

— W poprzednią niedzielę? Że najbliższy piątek jest świętem obowiązującym?

— Na pewno nie przypomniał. Byłem na polskiej Mszy św. i przecież po polsku rozumiem. Nic a nic o tym nie mówił.

— W takim razie to jest w pewnym stopniu wina księdza, że zapomniał przypomnieć. Ale tylko w pewnym stopniu. Jeśli pan jest katolikiem, powinien pan mieć katolicki kalendarzyk, w którym oznaczone są święta obowiązujące i samemu ich terminów dopilnować! W Polsce przed wojną to było niepotrzebne: święta obowiązujące były uznawane przez państwo, nie szło się do pracy i to samo przez się stanowiło przypomnienie. Ale tu żyjemy w kraju protestanckim. Jesteśmy wolni od pracy w „święto bankowe", ale nie jesteśmy wolni od pracy we wszystkie obowiązujące święta katolickie. Ale święta te nie przestały nas z tego powodu obowiązywać. Kościół udzielił Anglii ulg, niektóre święta, które obowiązywały w Polsce, albo które obowiązują w Irlandii, zostały skreślone z listy świąt obowiązujących w Anglii. Ale inne nadal obowiązują i każdy katolik w Anglii skrupulatnie ich przestrzega. To nawet wstyd, że są tacy katolicy polscy, którzy tego nie wiedzą. Przynoszą oni przez to wstyd katolicyzmowi polskiemu w oczach katolików angielskich. A czy był pan na Mszy św. w Boże Ciało?

— Naturalnie! Rano byłem na Mszy świętej, a po południu na polskiej procesji.

— Na polskiej procesji? Nie było polskiej procesji w dzień Bożego Ciała.

— Jak to? Co pan mówi? Była wspaniała procesja! Pan o tym nie wie?

— Była, owszem, wspaniała polska procesja, ale nie w dzień Bożego Ciała, lecz w niedzielę w okresie Bożego Ciała. W dzień Bożego Ciała żadnej procesji nie było. Otóż, czy był pan na Mszy św. w święto Bożego Ciała? We czwartek? Bo to także było święto obowiązujące? Co innego jest procesja w następną niedzielę, a co innego pójście na Mszę św., ranną lub wieczorną, w samo święto.

— Nie. Nie byłem.

Proszę. To jest polski katolik.

To samo jest i z postami. Posty obowiązujące katolika, mieszkającego w Anglii, są tak nieliczne i tak lekkie, że chyba nie trudno jest przestrzegać je w sposób skrupulatny. A jednak założę się, że wśród tych tysięcy Polaków, którzy co niedziela wypełniają na tej wyspie kościoły, ogromny procent w ogóle nie wie, że na przykład w wigilię Wniebowzięcia Matki Boskiej, to znaczy 14 sierpnia, obowiązuje post co do jakości i co do ilości. A wśród tych, którzy wiedzą, ogromny procent nie zamierza się do postu stosować w sposób skrupulatny: nie będą jedli mięsa, ale zjedzą na śniadanie i kolację ilość chleba czy gotowanych kartofli, przekraczającą przepisy o poście „co do ilości".

Założę się również, że ogromna ilość Polaków na tej wyspie nie wie o tym, że obecne ulgi postne nie są bezwarunkowe, lecz że związane są z obowiązkiem jakiejś ofiary wyrównującej, na przykład ofiary pieniężnej na kościół, albo odmawiania w Wielkim Poście Drogi Krzyżowej lub tp.

Przepisy kościelne są zmienne. Mają one w sobie ścisłość i szczegółowość, właściwą przepisom prawnym. (Na przykład: kilka lat temu nie wolno było pić wody przed Komunią św., a teraz wolno). Otóż ktoś, kto jest katolikiem naprawdę, a nie tylko „na niby", ma obowiązek stosować się do nich w sposób ścisły.

Należałoby polskie społeczeństwo pod tym względem podciągnąć. Należałoby, byśmy się nauczyli większej dyscypliny i skrupulatności w wykonywaniu naszych obowiąków kościelnych.

Duże zadanie ma tu do spełnienia polskie wielebne duchowieństwo. Jest prawdą, że trochę za mało słyszymy o tym wszystkim z ambon.

Ale nie mniej ma tu do zrobienia też i świeckie społeczeństwo, przez propagandę z ust do ust i przez wywieranie nacisków przez znajomych na znajomych.

POLONUS

KU UCZCZENIU JOANNY D'ARC

Z trzystoleciem obrony Częstochowy w Polsce niemal zbiegły się we Francji uroczystości z okazji 500-lecia rehabilitacji św. Joanny d'Arc, które odbyły się w Rouen przy udziale wielu dostojników kościelnych, prezydenta republiki Coty'ego i dużej delegacji z Wielkiej Brytanii. Uroczystości te połączone zostały z ponownym otwarciem katedry w Rouen, poważnie zniszczonej przez bombardowanie powietrzne w roku 1944. Odbudowywanie jej trwało 12 lat; dokonane zostało z ogromnym nakładem pracy i pieczołowitością — i obecnie Francuzi mówią z dumą, że katedra jest „plus belle qu'avant".

Uroczystości rozpoczęły się w sobotę, 23 czerwca, wielkim pochodem historycznym, który przeciągnął ulicami miasta. Środkiem jezdni posuwały się jeden za drugim płaskie wozy, z których każdy obrazował inną fazę w życiu i działalności św. Joanny d'Arc. Dwa z tych wozów ciągnięte były przez białe woły. W przerwach między tymi wozami, dla zilustrowania przejścia od jednego epizodu historycznego do następnego, posuwały się grupy rycerzy na koniach, mieszczan i duchowieństwa w strojach z XV stulecia. Pochód przyjmowany był entuzjastycznie przez tłumy widzów. Wieczorem odbyło się widowisko pt. „Tryumf św. Joanny", a po północy pokaz ogni sztucznych.

W niedzielę nastąpiło złożenie hołdu przez czynniki państwowe. Obecni byli trzej kardynałowie francuscy: Liénart, Gerlier i Feltin; marszałek Juin i ambasador brytyjski. Delegacja brytyjska obejmowała m. in. oddział marynarzy z Royal Navy. Wkrótce przybył prezydent Coty, który po merze miasta Rouen wygłosił przed mikrofonem przemówienie ku czci św. Joanny. Nazwał ją „la première résistante"; dla Francuzów — mówił Coty — jest Ona symbolem jedności narodowej. Prezydent złożył następnie wieńce i położył kamień węgielny pod przyszły wielki pomnik narodowy. Odbyła się następnie defilada, w której poza oddziałami wojska i marynarki wzięli udział harcerze i harcerki oraz dzieci szkolne. Pochód skierował się w stronę rzeki; z jednego z nowych mostów rzucano w fale rzeki róże na pamiątkę rozrzucenia prochów św. Joanny pięć stuleci temu.

Poniedziałek poświęcony był katedrze. Mszę św. pontyfikalną celebrował arcybiskup Rouen Martin; obecni byli kardynałowie francuscy i kardynał Griffin z Anglii.

ZGON PAPINIEGO

Dnia 8 lipca zmarł we Florencji, w wieku lat 75, jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy włoskich, Giovanni Papini. Był to człowiek niezwykle uzdolniony; czynny był jako krytyk literacki, powieściopisarz, eseista, poeta, satyryk, a w późniejszym okresie życia także jako hagiolog.

Papini urodził się we Florencji 9 stycznia 1881 roku. Ojciec jego był niewierzącym „Carducciano", związanym ideowo ze środowiskiem dawnego „Risorgimento". Nie dziw, że dziecko ochrzczone potajemnie, nie było nigdy zabierane do kościoła. Młody Giovanni początkowo miał zostać nauczycielem ludowym, ale jego sukcesy pisarskie wyznaczyły mu inną karierę życiową.

W roku 1903, a więc mając lat 22, Papini zakłada czasopismo literackie „Leonardo", które istniało przez cztery lata i zapewniło mu rolę przywódcy ówczesnego młodego pokolenia w dziedzinie pisarskiej. Po piśmie tym przyszła kolej na inny periodyk „La Voce", jeszcze bardziej wpływowy, który skupił wiele najzdolniejszych sił literackich kraju.



Papini jako młodzieniec
rys. K. Białowiejska

Już wtedy Papini odznaczał się ostrym zmysłem satyry i inwektywy — takim pozostał właściwie przez całe życie. Robiło mu to, zwłaszcza w młodości, wielu nieprzyjaciół; ceniono go, ale więcej go się bano niż kochano. W poszukiwaniu wartości trwałych przerzuca się od jednej dziedziny i jednego prądu do innego. Pociąga go najpierw wielka poezja (pisze o niej w „Cento Pagine di Poesia"), potem filozofia. Do filozofii jednak rozczarowuje się gruntownie; daje temu wyraz w książce „Il Crepuscolo dei Filosofi". Kolejno Papini hołduje pragmatyzmowi i nacjonalizmowi; był zresztą całe życie gorącym patriotą włoskim. Swoim przeżyciom umysłowym poświęca książkę o charakterze autobiograficznym „Un uomo finito", wydaną w roku 1913. W tym samym roku zakłada wraz z Ardengo Soffici czasopismo futurystyczne „Lacerba", które ukazuje się do r. 1915. Wraz z całym ruchem futurystycznym Papini staje się entuzjastycznym zwolennikiem „interwencji", to jest wejścia Włoch w wojnę przeciw mocarstwom centralnym.

W roku 1920 Papini nawraca się na łono Kościoła katolickiego. W roku następnym ukazują się jego „Dzieje Chrystusa" (Storia di Cristo); napisał tę książkę, jak stwierdza, jako pokutę za swój poprzedni ateizm. W ciągu trzech pierwszych lat we Włoszech rozeszło się jej 100.000 egzemplarzy. Książka przetłumaczona została na 14 języków (m. in. na polski); wydanie angielskie osiągnęło nakład 160.000 egzemplarzy, w Ameryce rozeszło się ponad 200.000 egzemplarzy.

Papini zajmował stanowisko krytyczne wobec faszyzmu, nie dziw więc, że w roku 1926 zaatakowany został gwałtownie przez jedno z czołowych pism faszystowskich „Impero". Ale w roku 1933 za aprobatą Mussoliniego otrzymał „nagrodę Florencji" za książkę „Dante żywy". W roku 1935 Papini powołany został na katedrę literatury włoskiej na uniwersytecie bolońskim. Dwa lata później ogłosił swą „Storia della letteratura italiana".

Wśród książek, jakie napisał po nawróceniu, na uwagę zasługuje jego rzecz o św. Augustynie oraz „Chleb i wino". Duchem szczerze katolickim przepojona jest też książka „Niebo i ziemia". Później właściwy Papiniemu zmysł wybujałej przekory spowodował, że wykroczył on przeciw dogmatom Kościoła w książce „Il Diavolo".

KRZYSZTOF BACZYŃSKI

Krzysztof Kamil Baczyński, którego poemat drukujemy w bieżącym numerze ŻYCIA, jest może najgłębszym z poetów pokolenia Polski Podziemnej.

Urodzony w roku 1921, kończy gimnazjum w Warszawie, z której wojennymi losami łączą się dalsze lata jego życia, jego twórczość i śmierć.

Baczyński wydaje w konspiracji dwa zbiory poezji: „Zamknięty echem" i „Dwie miłości", oraz liczne wiersze w tajnie drukowanych antologiach. W parę lat po wojnie ukazał się w Kraju tom jego dzieł pt. „Śpiew z pożogi". W tym też czasie krakowski „Tygodnik Powszechny" drukował „Poemat o Chrystusie dziecięcym".

Krzysztof Baczyński zginął jako żołnierz Armii Krajowej w Warszawie, dnia 4 sierpnia 1944 roku.

JUBILEUSZE KAPŁAŃSKIE



Ks. prob. L. Czapski

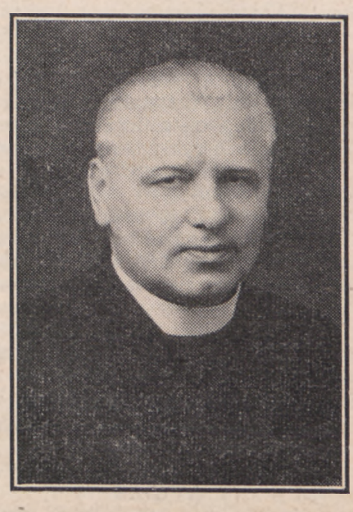
Do liczby Przewielebnych Księży, którym składaliśmy życzenia jubileuszowe w nr. 28 ŻYCIA, dołączyć jeszcze należy pięciu duszpasterzy. Trzech z nich pracuje na terenie Wielkiej Brytanii: ks. proboszcz LEONARD CZAPSKI, z parafii polskiej w Fairford Park, ks. proboszcz MAKSYMILIAN KOTOWSKI z polskiego ośrodka w Melton Mowbray, Leics. oraz ks. proboszcz STANISŁAW WACŁAW PARASZEWSKI z Blackburn. Dwaj inni Księża pracują wśród Polaków poza W. Brytanią: ks. kanonik PAWEŁ KAJKA jest proboszczem parafii polskiej w Monachium, a więc na uciążliwym raczej terenie Niemiec, zaś ks. JÓZEF THIEL sprawuje opiekę duszpasterską nad grupą 1500 Polaków w Luksemburgu, rozwijając także wśród nich żywą działalność społeczną. To samo zresztą trzeba powiedzieć i o czterech pozostałych Jubilatach. Zamieszczone przez nasz Ośrodek Wydawniczy w nr. 29/375 „Gazety Niedzielnej" ich życiorysy (w granicach wiadomości, które zdołaliśmy osiągnąć) mówią nie tylko o ciężkich przejściach Jubilatów w okresie wojennym, o ich wędrówkach po obozach koncentracyjnych, o udziale w powstaniu, o pełnionej z poświęceniem służbie kapelanów polskich wojsk, ale zaznajamiają one również z obecna rzetelną pracą społeczną Jubilatów, tak ogólnie doniosłą dla życia polskiego na emigracji. Podczas gdy, bądź to w końcu czerwca, bądź na początku miesiąca bieżącego czterej Księża: ks. prob. Leonard Czapski, ks. prob. Maksymilian Kotowski, ks. prob. Stanisław W. Paraszewski i ks. prob. Stanisław Kajka — obchodzili srebrne jubileusze, tj. dwudziestopięciolecie swego kapłaństwa, to ks. Józef Thiel z Luksemburga, którego fotografii, niestety, nie mamy, ma już za sobą całych czterdzieści lat zbożnej pracy kapłańskiej.



Ks. prob. M. Kotowski



Ks. kan. P. Kajka



Ks. prob. St. Paraszewski

Wszystkim Przewielebnym Jubilatom składamy z okazji tych jubileuszów jak najserdeczniejsze życzenia w imieniu Czytelników ŻYCIA i Katolickiego Ośrodka Wydawniczego.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

SPADEK PRZYROSTU LUDNOŚCI W WIELKIEJ BRYTANII

Prasa brytyjska podnosi sprawę zmniejszania się przyrostu ludności w Anglii i Walii i szuka środków zaradczych.

W roku 1930 poruszenie wywołało stwierdzenie faktu, że gdy urodzeń na każdy tysiąc mieszkańcow było 14,4, to śmierci wypadało 12,3. Statystycy obliczyli, że jeśli ten proces się utrzyma, to w roku 2035 pozostanie tylko 4,5 miliona ludności na obszarze całego kraju.

W chwili obecnej urodzin jest 15,0 na tysiąc, zaś 11,7 zgonów, przy czym ta ostatnia cyfra wykazuje tendencję wzrostu. Brytyjczyków niepokoi zwiększająca się bezustannie ilość starych ludzi. Starzy produkują mało lub tez nie biorą w produkcji udziału, a młodych jest coraz mniej. Tu więc leży sedno trudności wynikających z małego przyrostu naturalnego.

Kiedy jeszcze w roku 1901 było w Anglii półtora miliona ludzi w wieku ponad 60 lat, obecnie jest ich 7 milionów. Tak samo ilość młodzieży w wieku poniżej 15 lat jest mniejsza niż była przed pół wiekiem, pomimo że liczba całej ludności za ten okres wzrosła o 12 milionów osób.

W JEDNOSTKACH HAŁASU

Czasopismo „The Motor" podaje następującą tabelkę codziennych hałasów, mierzonych „decybelami", tj. jednostkami donośności dźwięku:

Próg słyszenia ...	0	db
Szept ...	10	„
Spokojna rozmowa ...	20	„
Przeciętna rozmowa ...	50	„
Hałaśliwy dom ...	60	„
Hałaśliwe biuro ...	75	„
Hałaśliwa fabryka ...	90	„
Warsztat kotlarza ...	100	„
Pociąg kolejki podziemnej	105	„
Próg bólu ...	120	„

Zdaniem „Sunday Timesa" autor tej tabelki zapomniał o pozycji „Coctail party", która produkuje 121 decybeli hałasu. Dodajmy od siebie, że jeszcze wyższą porcję decybeli wrzawy powodują niewątpliwie tzw. „pyjama parties", o których rozpisują się obecnie niektóre pisma angielskie i na których dochodzi do fantastycznych pijatyk.

Z powodu urlopów numer ten wychodzi jako podwójny z datą niedzieli 22 lipca i niedzieli 29 lipca. Numer następny ukaże się w niedzielę 5 sierpnia.

REDAKCJA

Z ŻYCIA VERITASOWEJ RODZINY

W dniu 30 czerwca br., w kościele parafialnym oo. benedyktynów w Londynie odbył się ślub syna redaktora Zygmunta Kotkowskiego — współpracownika Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas" — Macieja, z panną Barbarą, córką ś. p. płk. lekarza Deszberga.

Związek małżeński pobłogosławił ks. kanonik T. Urbański, b. dziekan łęczycki. Na ręce proboszcza kościoła polskiego na Ealingu nadesłane zostało błogosławieństwo od Ojca św. i J. E. ks. arcybiskupa J. Gawliny, Opiekuna Emigracji Polskiej.

Wśród licznych życzeń od duchowieństwa, piękne życzenia nadeszły od Wikariusza Delegata dla Polaków w Anglii i Walii ks. prałata W. Staniszewskiego. Poza tym wiele życzeń napłynęło od przedstawicieli życia kulturalnego, politycznego i społecznego emigracji polskiej z różnych krajów. Do życzeń dołączamy i nasze najserdeczniejsze życzenia „Szczęść Boże".

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2, England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna z góry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6 d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. WPŁATY: a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: **ARGENTYNA: „Libreria Polaca"**, Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **AUSTRALIA: „Vistula"** (Aust.) Pty.Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. **BELGIA: Mme E. Kulakowska**, 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 frs. **BRAZYLIA: Książnica Polska**, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka**, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **DANIA: Ks. O. J. Szymaszek**, Skt. Annae Kirke Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **FRANCJA: Ks. K. Stolarek**, 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. Prenumerata kwart.: 540 fr. **HOLANDIA: B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. **KANADA: Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto. **NIEMCY: St. Mikiciuk**, Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 8 DM. **NORWEGIA: B. Łubiński**, Kongesgat 2, Moss. **STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication"**, 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y. **M. Kijowski**, 380 North Ave., Dunellen, N. J. **S. J. Rozmyslowicz** 5262 Proctor, Detroit 10, Mich. **Mme J. Stojanowska**, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz **„Pomoc" — Eksport - Import**, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. **SZWAJCARIA: Mme B. Gierszewska**, 4 Rue Simplon, Fribourg. konto poczt. No 11a 5275 - Fribourg. Pren. kwart. 5.00 fr. **SZWECJA: Mgr B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 krs. **WŁOCHY: Mme Z. Bulhak Jelska**, via Salaria 300 C, Roma.

W sprawach **prenumeraty i ogłoszeń** prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.